

EUGENJUSZ KOWALEWSKI.

Wspomnienia 
 z przeszłości.

— > < —
PRZYCZYNEK
DO HISTORJI POWSTANIA STYCZNIOWEGO
NA LITWIE.



WILNO
WZGLĘDEM „DZIENNIKA WILENSKIEGO”

1907.

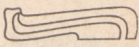

3970.

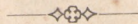
203

Wspomnienia z przeszłości.

3970


EUGENJUSZ KOWALEWSKI.

Wspomnienia 
 z przeszłości.



PRZYZYNEK
DO HISTORJI POWSTANIA STYCZNIOWEGO
NA LITWIE.



WILNO 
NAKŁADEM „DZIENNIKA WILEŃSKIEGO“
1907.

Odbitka z „Dziennika Wileńskiego.“

Druk Marcina Kuchty, Dworcowa № 4.



Burza 1863 r., którą pokrewne poszumy wiatru przyniosły do nas z za Bugu, nie doczekała dotąd całkowitego opracowania historycznego. Dzieje tej krwawej epoki rozpadają się wciąż na luźne karty urywanych wspomnień, epizodów, monografji. Wiele z nich, nie zapisanych ręką historyka, ginie w pamięci ludzkiej, wchodząc w krainę podań rodzinnych, legend, a nawet baśni. Z tych, co wówczas żyli, na to patrzyli, lub brali udział w walce, niewielu już zostało. Obowiązkiem ich jest więc zacierające się obrazy odtworzyć dla młodszego pokolenia i dopomódz przyszłemu historykowi do szerszego i głębszego objęcia dramatu dziejowego, jaki się rozegrał na Litwie w 1863 r.

Na tej zasadzie, jako naoczny świadek i uczestnik owych wypadków, odkopuję w pamięci wspomnienia z owej epoki, by się podzielić niemi z młodszem pokoleniem i przekazać je historii.

I.

W Petersburgu. Pierwsza wiadomość i pierwsze wrażenia. Powrót do kraju.

Był styczeń 1863 r. Wracając z lekcji uniwersyteckich w Petersburgu, wstąpiłem do cukierni na Wasilewskiej wyspie dla przejrzania, jak zwykle, prasy bieżącej. Pierwszą pochwyconą gazetą był dziennik francuski, a pierwszą nowiną, na którą padły moje oczy, a która mię uderzyła jak grom, była wieść o rozpoczętem powstaniu w Królestwie. Petersburg dowiadywał się o tem ze szpalt dziennikarskich. Zelektryzowany, pędziłem do swego mieszkania. Byłem wówczas kasjerem, oraz bibliotekarzem polskiej biblioteki studenckiej. Stojąc tak blisko młodzieży, nie przypuszczałem, aby to, o czem marzyliśmy, do czegośmy się w rzeczywistości przygotowywali, tak prędko w ciało zamienić się mogło!..

W domu nie zastałem kolegi, z którym mieszkałem i którego biegłem zawiadomić o tem, co się stało. Wnet jednak, jak zwykle w poobiedniej porze, zaczęli się do mnie wsuwać inni studenci. Usłyszawszy rzecz niezwykłą, wylatywali, jak szaleni, pragnąc własnymi oczami przeczytać to, co im powiedziałem.

Już tejeż nocy kilkunastu kolegów zażądało pieniędzy na wyjazd do stron rodzinnych. Nie czekając ogólnego zebrania, o którym w tych pierwszych chwilach nikt myśleć nie chciał, wydawałem każdemu tyle, na ile szczupłą studencką kasę stać było. Do rana kasa została do dna wyczerpaną. Zapotrzebowanie jednak pieniędzy przez studentów wzrastało.

Nasunawszy baranią rogatywkę, udałem się do uniwersytetu na lekcję Somowa... Zastałem tam niewielu naszych; zato Rosjanie byli w komplecie. Stosunki z nimi utrzymywały się zimne, lecz koleżeńsko-życzliwe. Wiedzieliśmy, iż bibliotekarzem ich i głową był niejaki Padałko*), człowiek lat 30. Do niego się więc zwróciłem z prośbą o udzielenie kilkuset rubli, niezbędnych Polakom-studentom na powrót do kraju wobec ostatnich wypadków. Nie potrzebowałem tańc tego przed przywódcą pierwszych błysków ruchu wolnościowego, przed członkiem komitetu: „Ziemia i Wola“. Zrozumiał mnie. Przrzekając swe poparcie, obiecał dać odpowiedź o 6 wieczorem pod kolumną Kazańskiego soboru. Gdy tam przybyłem na oznaczoną chwilę, spotkał mnie inny

*) Pseudonim może.

student, Rosjanin, wysłany po mnie, z którym dorożką udałem się na Plac Sienny, gdzie się mieściła kwatera studencka. Kazano mi tam odegrać rolę kolegi, przybywającego w celu pożyczenia książki. Dopiero w godzinę zjawił się niecierpliwie wyczekiwany Padałko i, wręczając mi żadaną kwotę z serdecznym, ciepłym życzeniem, dodał szybko: „Ach, panowie! gubicie siebie i nas. Zawczasie to! Gdybyście zaczekali—poszlibyśmy ręką w rękę, a tak, liczyć na nas, niestety, jeszcze nie możecie“.

Taki podówczas był stosunek między Polakami a postępową młodzieżą rosyjską. Naszych studentów we wszystkich wyższych zakładach przenikał nawskroś duch patriotyczny, połączony z gorącą chęcią do pracy i zdobywania wiedzy, w celu służenia za jej pomocą krajowi swemu. Napięcie struny patriotycznej było wśród młodzieży tak wielkie, iż gdy w 1861 r. z charkowskiego uniwersytetu przeniosłem się do Petersburga i na zebraniu listopadowym, nieznanym prawie nikomu, wystąpiłem z oceną powstania 1831 r., taki entuzjizm wybuchł wśród studentów, iż w kilka dni ja, nieznamy jeszcze, wybrany byłem na kasjera i bibliotekarza, co stanowiło

wówczas najwyższy honorowy zaszczyt.

Dziś—rzecz ta wydaje się małą i błahą. Maluje jednak jaskrawo ówczesny nastrój naszej polskiej młodzieży.

Gdy wróciłem do domu, znalazłem już mnóstwo kolegów, oczekujących zasiłku pieniężnego na wyjazd. Rozdzieliwszy wszystko, com dostał, pobiegłem do biskupa Bereśniewicza z prośbą o przyjęcie w depozyt biblioteki naszej. Biskup chętnie się na to zgodził, wskazując mieszkanie, gdzie pod płaszczykami przenieśliśmy kilkaset tomów, przeważnie dzieł zakazanych. Wówczas poczułem, iż czas pomyśleć o sobie.

Nie tracąc chwili, z kolegą Józefem Berkmanem uciekliśmy na pociąg, idący do Wilna.

Gdy piszę to dziś, po 40 kilku latach, cała ta chwila przeszłości snem mi się niemal wydaje. A jednak stoi mi w oczach tak jasno, jak gdyby to było wczoraj... Tylko, zamiast tego blasku, zapału i nadziei, które wówczas rozsadały pierś młodzieńczą, bez względu na słowa Padałki, w duszy ciężkie a smutne osiada uczucie...

Pierzchła egzaltacja młodości. Przesady więc i fałszu w opowiadaniu mem nie będzie. Patrząc z dalszej

perspektywy na ów obraz dziejowy, łatwiej go krytycznie oceniać mogę. Przekonany mocno jestem, iż, do owej pory przynajmniej, żadnej polskiej organizacji, żadnego rewolucyjnego komitetu w Petersburgu nie było. Opieram to przekonanie na następujących danych: Z kolegą moim, synem profesora języków, Stanisławem M., dziś jeszcze żyjącym, miałem wstęp wolny do domu profesorów: Włodzimierza Spasowicza i Baltazara Kalinowskiego, mieszkających podówczas razem przy ulicy Oficerskiej. W ich domu na czwartkowych zebraniach spotykałem Ohryzkę, Sierakowskiego, Rechniewskiego i innych. Byłem w 1862 r. świadkiem przybycia Grabowskiego, w celu zakomunikowania rozmowy cesarza Aleksandra z Andrzejem Zamojskim, po której rozkazano mu wyjechać natychmiast morzem do Londynu. Sądzę więc, iż gdyby wówczas istniała już jakaś organizacja rewolucyjna, niewątpliwie użyłoby nas za narzędzie do wywierania wpływu na młodzież uniwersytecką. Nie podjęto jednak żadnego kroku w tym względzie. Stąd wnoszę, iż wypadki zaskoczyły tak starszą, jak i nas, młodzież, niespodziewanie.

II.

Na dworcu. Powrót do domu. Wrażenia na wsi. Wycieczka do Mińska. Berko Ickowicz.

Uciekałem z Petersburga nie wpadłszy nawet z pożegnaniem do profesorów Spasowicza i Kalinowskiego, u których nawet nie zasięgnąłem w wypadkach tych rady, w obawie, by ci rozważni i rozumni ludzie nie obleli nas zimną wodą i nie zatrzymali wyjeżdżających. Dlatego to prawdopodobnie, bo i sam z tego dziś sprawy zdać nie umiem, nie do nich, ale do komitetu studentów rosyjskich zwróciłem się o sukurs pieniężny na wyjazd młodzieży.

Gdyśmy z kolegą Berkmanem na dworzec warszawski przybyli, znaleźliśmy tam pełno wojska. Byli to strzelcy finlandzcy, wysyłani do Wilna.

Zaczęliśmy przysłuchiwać się rozmowom. W poczekalniach II i III klasy mówiono tylko o powstaniu w Polsce.

Z ust do ust podawano sobie potwornie przesadzone wieści. Oficerowie zdradzali niepokój, żołnierze prawili o olbrzymich kosach powstańców, wobec których bagnety nie mają żadnego znaczenia. Panika wiała w powietrzu, a nam serca rosły.

W obawie zwrócenia uwagi, studenci nie wyjeżdżali gromadnie, lecz po dwóch, trzech, każdym pociągiem. I tą razą prócz nas nie dostrzegliśmy żadnego z kolegów. Dopiero w drodze, na jednej ze stacji, natknęliśmy się przypadkiem na jednego studenta, któregośmy mało znali, a który, w tymże co i my celu, wracał do kraju. Ten nas powiadomił, iż w Wilnie władze już wymagają paszportów, a że wszystkie nasze dokumenta pozostały w uniwersytecie, uradziliśmy wysiąść w Święcianach i ruszyć stamtąd końmi w rodzinne strony. Przeszedłszy pieszo świeżo zamarzną Wilję około Smorgoń, rozstaliśmy się z kolegą Józefem. On podążył w oszmiańskie, ja w wilejskie strony.

Prasa, przenikająca dziś z najświeższymi nowinami do najdalszych zakątków kraju, nie była wówczas ani tak potężną, ani tak rozpowszechnioną.

Komunikacja pocztowa łączyła tylko miasta gubernjalne, co najwyżej, powiatowe. Telegrafy na prowincji nie istniały. Kolej żelazna libawsko-romeńska powstała dopiero w lat 10 później. Nieprędko więc wieści szerszego świata dochodziły do dworów i dworków ziemiańskich. Gdym stanął na progu rodzicielskiego domu, zdumienie ogarnęło wszystkich.

Opowiadanie o zaszłych wypadkach, powrocie młodzieży do kraju, zajęło noc całą. Ojciec na razie się uniósł, rozgniewał, lękając strasznych następstw tego nierozważnego kroku. Powoli jednak mój zapal młodzieńczy, nadzieje płynące z Zachodu, zresztą to ukryte uczucie, które każdy w piersiach nosił, rozjaśniły mu nieco czoło. Krew żołnierska zagrała mu w żyłach. Sam oficer b. wojsk polskich (4-go pułku szaserów) za czasów ks. Konstantego, przejął się wkrótce zapalem moim. A choć nie wierzył w powodzenie, choć rozumiał, iż wybuch ten będzie nieszczęściem dla kraju, czuł jednak, iż go już nic nie powstrzyma i że wobec tego żaden obywatel kraju bezczynnie siedzieć nie może. Jakoż zaraz ruszył z domu w dalsze okolice w celu zbadania sytuacji i zasięgnięcia języka.

Wieść o moim powrocie do ~~do~~^{nas} rozbiegła się szybko w okolicy. Zaraz też zaczęli do domu zaglądać sąsiedzi, przejęci lub strwożeni tem, co usłyszeli. Rozpoczęły się zjazdy i narady. Rwąc się do jakiejś działalności czynnej, postanowiliśmy ze studentem charkowskiego uniwersytetu, Małachowskim, przebywającym podówczas w sąsiedztwie, działać na własną rękę, zanim coś starsi uradzą.

Udałem się więc do Mińska, w celu zbliżenia się do tamecznej młodzieży i zaopatrzenia, o ile się da, w broń i amunicję. Wiele mi w tem dopomógł zacny obywatel miński, ś. p. Mieczysław Slizień.

Zdobywszy tedy nieco różnej starej broni, oraz kilka pudów prochu i ołowiu, ruszyłem ze skarbami temi do domu, ukrywszy je w słomie, którą w tym celu wóz był wypchany. Nie chcąc budzić uwagi i podejrzeń ludzi dworskich, nie brałem z sobą nikogo, powożąc sam na spokojnym łysym kasztanie, który mi i dziś w oczach stoi, przypominając niebezpieczną przygodę, jaka nas spotkała w powrocie i pierwszy strach, jaki mi zajrzał w oczy. Z Mińska miałem dziewięć mil drogi. Musiałem więc, jak zwykle, popasać w miasteczku Rakowie, gdzie naraz postrzegłem uwijających się kozaków, których całą secinę świeżo tu rozłokowano. Kilku stało właśnie na progu i u wrót stodoły tej zajezdnej karczmy, do której dążyłem. Cofnąć się było niepodobna.

Nadrabiając więc miną, wjechałem śmiało do stodoły. Gospodarz zajazdu, poczciwy starzec Berko Ickowicz, fenomenalny typ Żyda-polityka, musiał coś wyczytać w mojej twarzy i przeniknąć zawartość wozu, bo zaniepokoił się również, ale wnet,

chcąc mi dopomóc, z przebiegłością swego plemienia potrafił zwrócić w inną stronę uwagę kozaków. Udając chorego, nie schodziłem z wozu, a kozacy, dzięki poczęstunkowi, którego Berko w imieniu mojem nie szczędził, sami mi jeszcze odpręgli konia. Ze względu na niebezpieczną sytuację, popas mój był krótki. Odetchnąłem dopiero swobodnie, gdy mię rączy mój kasztan wyniósł poza miasteczko.

Takich typów, jak ów Berko Ickowicz, dziś się już nie spotyka. Szczery przyjaciel Polaków, oddany był całej kombinacji politycznym. Zwykle „geszefty“ handlowe mało go zajmowały; wyręczał się w nich chętnie trzecią z kolei połowicą, bo już wówczas był sędziwym starcem. Pamiętał rok 1812 i lubił o nim mówić. Pragnął odrodzenia kraju i czekał tego zawsze, do śmierci. Umarł, przeżywszy lat 100 z górą, wiecznie zajęty przerabianiem politycznej karty Europy.

Zbliżając się w nocy do domu, rzuciłem ołów w lesie, przywiezioną zaś broń schowałem w oborze, w obawie pojawiających się już rewizji.

III.

Nominacje. Roboty organizacyjne i przygotowawcze. Dwór, zaścianek i chata.

Lud po zniesieniu poddaństwa.

W domu znalazłem już ojca. Świeżo zorganizowany komitet wileński mianował go wojskowym naczelnikiem powiatu wilejskiego, dając mu za pomocnika ś. p. Konstantego Tukalę. Komisarzem powiatu osmiańskiego został już nieżyjący dr. Witkowski, a wilejskiego — nauczyciel matematyki w szkołach młodzieczańskich, Politowski, człowiek wielkiej energii i siły ducha, przytem miły i sympatyczny bardzo.

Zrazu miał on wyznaczonego sobie pomocnika w osobie ś. p. Ignacego Kurowskiego, potem dodano mu jeszcze dwóch towarzyszy, nauczycieli tejże szkoły w Mołodecznie — Smogorzewskiego i doktora Józefa K. Na naczelnika sił zbrojnych (?) powiatu wilejskiegoznaczony został Jan Koziello, były artylerzysta, młody i dzielny człowiek. Ten już powołał na setnika studenta kijowskiego uniwersytetu, Wincentego Odyńca, mianując mnie, jako młodszego, jego pomocnikiem. Trzeba się było poddać wyższym rozkazom i nie na własną nie poczynać rękę.

O dalszych rozgałęzieniach orga-

nizacji dobrze jeszcze podówczas nie wiedziałem.

Szybko a tajemniczo objęła ona niemal jednocześnie kraj cały. Głowy organizacji dzierżyły w rękach wszystkie nici tego kłębka. Członkowie zaś wiedzieli tylko o tych, z którymi pośrednią lub bezpośrednią styczność mieć musieli. Komisarze posiadali najwyższą władzę w powiatach i zostawali w bezpośrednim stosunku z komitetem wileńskim. Mieli szerokie prawa. Mogli wedle uznania zmieniać naczelników, jak oddzielnym, tak i powiatowych, mianując na ich miejsce innych.

Było to coś w rodzaju Cimourdaina (Wiktora Hugo) i przypominało rewolucję francuską.

Komitet włożył na mego ojca ciężki nader obowiązek ściągania podatku na rzecz powstania. Podatek ten, jeżeli się już dziś nie myślę, wynosił około 10—15 kop. z morgi posiadanej ziemi. Była to czynność wielce przykra. Trzeba było wysłuchiwać nieraz stękania i długiego gadania. Płacili jednak wszyscy i pokwitowań brać nie chcieli. Dla ułatwienia sobie i przyspieszenia tej roboty, ojciec mój wyznaczył poborców okręgowych, między którymi byli: ś. p. J. Bohdanowicz i ś. p. M. Świętorzecki z bratem.

Dzień powstania nie był jeszcze

oznaczony. Kazano się organizować i czekać rozkazów.

Czynność moja polegała na razie na powoływaniu do broni młodzieży, której byłem pewny. Wsiadałem więc na swego wierzchowca i objeżdżałem dwory, dworki i zaścianki, których gęsto było podówczas w kraju.

Nie przechodziły jeszcze w obce ręce ziemiańskie siedziby, ani świeciły taką pustką, jak dzisiaj. Wszędzie żywiol swojski, mniej lub więcej przejęty ideą ogólną, żywszem uczuciem lub chłodną rozważą. W całym kraju, we wszystkich tych dworach i dworkach, może nieco czasem lekkomyślnych, zapanował nagle poważny, głęboki nastrój, odpowiedni do zbliżającej się chwili. Otworzyły się serca i ręce do największych ofiar i poświęceń, zwłaszcza ze strony tego społecznego odłamu, który uchodził za najlepszy i najszlachetniejszy w kraju. Zdarzały się wprawdzie, jak wszędzie i zawsze, tak i wśród naszej szlachty, objawy zimnego wyrachowania, egoizmu, tchórzostwa i t. p. alem tego, zaślepiiony młodzieńczym porywem, nie dostrzegł i nie odczuł na razie.

Kobiety nasze, ziemianki polskie, wykazały podówczas swe wzniosłe a mężne serca. Jak owe wielkie Rzymianki, odczuwając głęboko mi-

łość dla ojczyzny i święte jej obowiązki, wyprawiały bez lży w oku swych mężów, synów i braci do walki, niosąc gorliwą pomoc wszędzie, gdzie tylko mogły. Nie zatrzymywała też mię ani jednym słowem i matka moja, przygotowując, jak inne, ze spokojem bieliznę, szarpie, bandaże na wyprawę dla wojaków.

W licznych a ludnych zaściankach szlachty zagrodowej, pod grubą niekulturalną powłoką, były jeszcze poczciwe serca Maćków i Bartków, których znaczna część do służby narodowej zaciągnąć się dała.

Lud włościański przedstawiał się, jako Sfinks. Obojętna z natury, ciemna, jak noc, olbrzymia, niewolnicza masa, świeżo z pęt przez rząd zwolniona i tą wolnością jeszcze oszołomiona, leżała milcząca, zagadkowa, śledząc przenikliwie wszystko, co się działo wokoło. Zrazu bierna wskutek wrodzonych cech swego charakteru, potem wroga pod wpływem obcych inspiracji, stawała się żywym a ciężkim wyrzutem grzechu szlachty, która w tę grubą bryłę mogła tchnąć ducha światła i rozgrzać ją cieplejszem dla kraju uczuciem i w porę tego nie zrobiła.

Wolności dać nie mogła. Szlachetne porywy w tym względzie, jak świadczą o tem polskie i rosyjskie źródła, rozbijały się zawsze o Peters-

burg. Nawet ostatnie przedpowstaniowe usiłowania zniesienia pańszczyzny gorąco zmanifestowane w Żytomierzu, potem w Wilnie i Mińsku, nie odniosły pożądanego skutku. W politycznych celach rządu leżało, by nie z rąk szlachty lud podarunek wolności otrzymał. W chwili wybuchu powstania, Najwyższy ukaz zniósł poddaństwo.

Rząd jednak sobie tym sposobem całą tę ciemną ludność, którą organa jego starały się przytem wrogo usposobić względem ziemiaństwa.

— Panowie żałują pańszczyzny, więc się buntują—mawiali popi. Czy nie słyszycie, jak w kościołach śpiewają: „Pańszczyznę wolną racz nam wrócić, Panie“.

Lud słuchał, patrzył i—mleczął.

Powoli budziły się śpiące instynkta, aż wreszcie, uwierzywszy w łaskę rządu a wrogie dla swej wolności usposobienie panów, jał w wielu miejscach, acz nie wszędzie, dopomagać do stłumienia powstania.

W takich warunkach rozpoczęła się walka na Litwie.

IV.

Werbunek. Obawy zdrady. Wyjazd Kozielly. Jego zastępca. Wątpliwość a praca. Hasło z Zachodu. Projekt partyzantki.

Powołując więc młodzież do broni, jeździłem w okolicy od dymu do dymu. Serdeczny przyjaciel naszego domu, ks. Bartoszewicz, proboszcz z Chołchły, ofiarował mi krzyż, na którym każdy z zawerbowanych przezemnie ludzi składał przysięgę. W kilka dni miałem już 88 zaprzysiężonych. Taką mniej więcej liczbę zdobył i Wincenty Odyniec. Na tem zawiesiliśmy na razie werbunek, lękając się zaczepiać ludzi mniej znajomych. Dawszy wiedzieć o tem, cośmy zrobili, Kozielle, siedzieliśmy cicho, zbierając i przygotowując broń i amunicję. Cały nasz mizerny rynsztunek wojenny, oprócz kilkunastu sztuk nowszego systemu, składał się przeważnie z broni myśliwskiej, oraz starych pistoletów i pałaszy, powyciąganych z kątów. Kryć się z tem trzeba było starannie przed służbą i czeladzią, której nie mogliśmy ufać, a która z czujnością kota śledziła nas wszędzie.

Miałem już tego dowód nie znalazłszy na miejscu broni, przywiezio-

nej z Mińska, którą tak ostrożnie w cieniach nocy ukryłem w oborze. Przerażony, zryłem ją całą. Aż wreszcie pastuch z drwiącym nieco wyrazem szepnął mi później, iż „znalazłszy przypadkiem paniczowskie zabawki“ zakopał je w innym miejscu. Oddał mi jednak broń i, ujęty może dobrem słowem i datkiem, nie zdradził nigdy. W pokoju pilnowała nas wciąż służba, zaglądając przez wszystkie szpary, podsłuchując pod wszystkimi drzwiami i pojawiając się jak duch Banka, cicho i nieopstrzeżenie wszędzie.

Zima, w tym pamiętnym dla Litwy roku, była bardzo lekka, bezśnieżna prawie. Zdawało się, iż natura nawet sprzyja zamysłom naszym. Stąd coraz większe ogarniało nas zniecierpliwienie.

Był już luty, gdy wracając z jakiejś wycieczki, znalazłem u mego ojca chmurnego mocno i przygnębionego Jana Koziellę. Okazało się, iż władze wpadły już na trop jego czynności, a choć nie dotąd nie wykryły, musiał dla ostrożności zniknąć im z oczu na czas jakiś. Komitet wysyłał go do Królestwa do partji działających, dokąd bocznemi drogami, przez Naliboki i Nowogródek, przewoził go dr. Józef K.

Organizacja traciła w Janie Kozielle jedną ze zdolniejszych sił swo-

ich. Na zastępcęznaczony był brat jego, Wincenty Koziello, inżynier wojskowy, który, przy wielu zaletach serca i umysłu, nie posiadał, niestety, przymiotów, niezbędnych dla organizatora powstania i kierownika partyzanckiego ruchu. Rozumiał to dobrze mój ojciec i mocno się tem zafrasował. Sam, były wojskowy, ocenił wnet błąd i niebezpieczeństwo, wypływające z naznaczenia na jedno z najbardziej odpowiedzialnych stanowisk człowieka, nie uzdolnionego do tego wcale. Wolałby, pomimo swych 60 lat, stanąć osobiście na czele ruchu i oddać życie, jak o tem zawsze marzył, w bitwie za kraj ukochany, niż być tylko wojskowym naczelnikiem powiatu. Ale wyższym rozkazom poddać się należało.

Nie było dnia ani godziny, aby ktoś do nas nie zaglądał lub po kogoś ojciec mój nie posyłał, bo choć wątpił, jak i wielu starszych, o skuteczności całej tej roboty, nie wierzył w możliwość podniesienia po uwłaszczeniu ciemnych mas narodu i smutne skutki tego szlacheckiego ruchu dla kraju przewidywał, pracował jednak usilnie, nie szczędząc trudu i mienia, aby w myśl poleceń z góry nadać powstającej walce za wolność najsilniejsze znaczenie. Wiara w pomoc Europy trwała jesz-

cze. Rzucone z Zachodu hasło: „dajcie znak życia, bo martwym narodom się nie pomaga“, było niejako bodźcem do usankcjonowania, pomimo słabych szans powodzenia, powstania narodowego na Litwie i podtrzymania go czas jakiś.

Czas płynął. Sieć organizacyjna objęła już wszystko, a hasła do powstania jeszcze nie było. Liczyliśmy tymczasem nasze słabe hufce, raczej w wyobraźni młodzieńczej niż w rzeczywistości, istniejące. Wierzyliśmy święcie, iż ci wszyscy, co zaprzysięgli lub nawet obiecali tylko, stawiają się, jak jeden mąż, w oznaczoną chwilę. Złudzenia nasze, niestety, podzielał i naczelnik sił zbrojnych, Wincenty Koziełło, który, przybywszy do mego ojca, armję swą już na kilka tysięcy rachował.

— Podziel ją pan przez dziesięć — odparł niecierpliwie mój ojciec, a wówczas może w cyfrę tę uwierzę.

Oburzaliśmy się w duchu na ojca za ten jego pesymizm, pełni energii, wiary i nadziei w przyszłość. Niestety, rozczarowanie nastąpiło prędko.

Powstanie w Królestwie nie było już tajemnicą dla nikogo. Wychodzący podówczas w Wilnie pod redakcją Kirkora już w dwóch językach polskim i rosyjskim „Kurjer Wileński“, podawał odnośnie biule-

tyny w duchu urzędowym. Komitet nadsyłał tu „Ruch“, „Wiadomości z pola bitwy“ i inne pisma, pełne złudzeń i przesady. Każda niepomyślna nawet utarczka, jak się o tem później przekonałem, w aureoli pewnego zwycięstwa przedstawiana była. Elektryzowało to nas młodych i pchało do walki.

Walka ta miała nosić zrazu czysto partyzancki charakter. Zasada jej było, ze względu na słabe siły oraz trudności i koszta przeżywania, formowanie licznych a drobnych oddziałów, z 50 do 200 ludzi każdy. Oddziały takie, rozproszone po całym powiecie, niepokoiłyby wciąż przeciwnika, już to z zasadzek, już w otwartem polu, zlewając się na rozkaz w razie potrzeby w jedną całość. Ojciec mój chciał utworzyć jeszcze oddział konny, z uzbrojeniem piechoty, który przerzucając się prędzej z miejsca na miejsce, mógłby w partyzantce znaczne oddać usługi. Ofiarowywał się go zorganizować i stanąć na jego czele. Komitet jednak był temu przeciwny i wolał, by naczelnik wojskowy pozostał na miejscu. Musiał on bowiem wraz z komisarzem powiatu być w ciągłym porozumieniu z naczelnikiem sił zbrojnych, który, kierując całym ruchem, otrzymywał bezpośrednio rozkazy Komitetu.

V.

Ówczesne lasy. Olizar. Ruch samowolny. Partja Bokszańskiego. Rozbicie jej w Świeczkach. Pogrom tatarski.

Partyzantkę w płaskim kraju naszym, w braku gór i wąwozów, ułatwiały wielkie a głębokie lasy, rozciągnięte podówczas po całej przestrzeni długim, rzadko się gdzie przerywającym łańcuchem. W tych puszczech i borach, gęsto młodą zielenią podszytych, pełnych błot i trzęsawisk trudnych do przebycia, były jeszcze dziewicze głębie, w których nie powstała stopa ludzka. Niedźwiedzie, łosie i sarny nie stanowiły tak rzadkiego jak dziś zjawiska. Wskutek niskich bardzo cen drzewa, z którego tylko grube kłody i bale, jako towar spławiany do Prus, pewną wartość miały, lekceważono na ogół to naturalne bogactwo kraju. Któż mógł przewidzieć, iż w niedalekiej przyszłości stanie się ono jego ekonomiczną dźwignią i podwaliną egzystencji synów i wnuków ówczesnego pokolenia!..

Stosy niepodbieranych, gnijących wywrotni, z pod których strzelały już w górę pędy nowych lato-rośli, wały suchych, mchem porośniętych gałęzi—tworzyły niemal co krok naturalne szańce i okopy, w których

powstańcy, jak w niedostępnych warunkach, ukrywać się choć czas jakiś mogli.

Pewnego dnia zawezwany nagle zostałem do sąsiadującego z nami ś. p. Jana Konarzewskiego, oficera floty morskiej, później admirała. Szlachetny ten człowiek, nie mogąc osobiście brać udziału w ruchu, chciał być nam pomocnym i użytecznym. Znalazłem u niego nieznanego mi gościa, który nazwał siebie Olizarem i przedstawił mi się, jako ziemianin z Wołynia, eks-wojskowy. O nazwisku tego człowieka, mianującego się następnie Światołdyczem, dowiedziałem się później. Był to Karol Nowakowski, emisariusz z Królestwa. Oświadczył mi zaraz na wstępie, iż formująca się partja powstańców w Oszmiańskiem wkrótce wystąpi w pole. Wiedząc zaś, iż mam zwembowanych ludzi, zachęcał mnie, bym się ze swym małym oddziałem do niej przyłączył. Odparłem jednak stanowczo, iż bez wyższego rozkazu tego nie uczynię. On zaś nie miał również żadnego upoważnienia władzy i nie budził we mnie ufności.

Po odjeździe Olizara, Jan Konarzewski, żegnając się ze mną po długiej, poufnej gawędce, wyniósł piękną angielską dubeltówkę, przywiezioną z Londynu i tę mi z dobrem życzeniem ofiarował. Doskonała ta

broń służyła mi przez cały czas kampanji.

Wróciwszy do domu, dałem znać naszej władzy o separystycznych dążnościach, zdradzanych przez Olizara, lecz że ten wnet zniknął jak kamfora, władze, acz zaniepokojone, żadnych poważniejszych kroków podjąć nie mogły.

Minęło znów dni kilkanaście.

Nagle jednego wieczoru wpada do nas ks. Bartoszewicz z Chołchły, pytając o mnie. Z przerażonej jego twarzy łatwo można było wyczytać, iż coś niezwykle stać się musiało. Okazało się też wnet, iż Olizar zdołał w Oszmiańskim podnieść ruch pewien, a wciągnawszy do tego Chodzków, Jamonta, Bokszańskiego i innych, utworzył drobny oddział, znany pod imieniem „partji Bokszańskiego“, któremu jednak sam przewodził i który, przerzuciwszy z oszmiańskiego do wilejskiego powiatu, skierował przez Oborek, Berezowce, Duszczyce i Soroczyn do Gródka.

Ks. Bartoszewicz wysłany był po mnie w celu namówienia do połączenia się z oddziałem Olizara.

Ponieważ ojca nie było w domu, ruszyłem nie tracąc chwili czasu do Mołodeczny, aby uprzedzić komisarza powiatu, Politowskiego, o zaszłym wypadku. W Mołodecznie, gdzie przybyłem w nocy, natrafiłem

już na rotę żołnierzy i rogatkę włościańską. Okazało się, iż oddział Olizara tak jawnie, nie przedsiębiorając żadnych środków ostrożności, wyruszył z Oszmiańskiego, iż uprzedzone o tem władze rządowe w Wilejce wysłały jednocześnie wojsko na spotkanie i rozbicie powstańców. Żołnierstwo nocowało w Mołodecznie, oczekując na furmanki włościańskie, których dostarczenia podjął się starszyna (wójt) mołodeczański, Saboś i nazajutrz o świcie puściło się wdalszą pogoń.

Zatrzymany na rogatce przez chłopów, musiałem się wylegitymować u asesora (stanowy przystaw), poczem dopiero, skradając się przez ogrody i sady, zdołałem zobaczyć się z Politowskim, który rozkazał nie ruszać się z domu, uważając czyn Olizara za samowolę i zbrodnię.

„Partja Bokszańskiego“ składała się zaledwie z 22 ludzi. Wszedłszy do Gródka i zwerbowałszy tam kilku jeszcze ochotników, zawróciła nagle w drugą stronę i znalazła się w Świeczkach, majątności ś. p. Rajnolda Kurowskiego. Tu postawiwszy na pikiecie kluczwojta z Gródka, Szczerbickiego, który się dobrowolnie zaciągnął w szeregi partji, powstańcy spokojnie na wypoczynek rozlokowali się we dworze. Pędząca za nimi rota żołnierzy, przybyw-

szy do wsi Siemierniki, dowiedziała się od włościan o miejscu pobytu powstańców, przesiadłszy się więc na konie chłopów siemiernickich, podążyła śladem wskazanym. Gdy żołnierze wpadli na górę w pobliżu dworu, Szczerbicki dał wprawdzie strzał alarmujący, lecz w tejże chwili, rzucając broń, przeszedł na stronę żołnierzy, którym poddając się przysięgał, iż przemocą do partji wciągnięty został.

Wnet grad kul osypał dom i dwór cały. Część powstańców ratowała się przez ogród ucieczką, część odstrzeliwała się celnie przez drzwi i okna, kładąc trupem kilku żołnierzy. Wreszcie wszyscy poszli w rozsypkę, zostawiając na placu pięciu poległych. Sam Olizar ledwo uszedł z życiem.

Gdy za żołnierstwem wdarło się do pokojów chłopstwo, straszne zaczęły rozegrywać się sceny. Wywłókszy z ukrycia za brodę starego Kurowskiego, rwąc mu siwe włosy, chłopci ze zwierzęcym instynktem mas ciemnych zaczęli się pastwić nad nieszczęśliwym starcem, który cudem tylko został z rodziną przy życiu.

Następnie chłopstwo, jak horda tatarska, rzuciło się do grabieży pod przewodnictwem Sabosia, starszyny z Mołodeczny.

W parę godzin dwór w Świeczkach istną już tylko przedstawiał ruinę.

VI.

Smutne skutki samowolnego ruchu. — Pierwsze ofiary. — Ucieczka Olizara. — Dzień 15 kwietnia. — Przygotowania do powstania. — Zawody.

Każda organizacja wówczas tylko pomyślnie i skutecznie działać może, gdy wszystkie jej sprężyny, jak klawisze w fortepjanie, poruszają się jedynie za jej naciskiem i odpowiadają sobie harmonijnie. Samowolne zaś wybryki, jak fałszywe nuty w akordzie, psują tę robotę i do smutnych następstw prowadzą. Tak się stało i tutaj. Wystąpienie Olizara, rozbitcie i rozproszenie partji Bokszańskiego, oddziaływając ujemnie na rozwój powstania w pow. wilejskim, fatalne przyniosło skutki. Osłabła wiara, upadł duch. Doznawane następnie zawody temu głównie przypisać należy.

Strach gasił zapał... Budziła się nieufność do tych, co całą kierowali akcją. W Świeczkach, gdzie dom cały przedziurawiony był kulami, padł nieszczęśliwy dowódca samowolnego oddziału, Bokszański.

Zginał również Jamont, jeden z Chodzków i paru innych, których nazwisk już dziś nie pamiętam. Ciała tych pierwszych ofiar ruchu złożone zostały na cmentarzu, w tak zwanej Plebanji, o wiorstę od miasteczka Kraśnego odległej.

Kraśne posiadało wówczas swój kościół parafjalny, do którego należała i Plebanja, gdzie się mieścił drugi mały kościółek, przy mogiłach leżący.

Wkrótce obie świątynie na cerkwie zamienione zostały... I zatarły się w pamięci ludzkiej tak nazwiska pierwszych poległych za sprawę narodową, jak i ich grób, rzucony bez śladu!..

Olizar, wyszedłszy cało z utarczki świeczkowskiej, błąkał się czas jakiś i ukrywał po lasach, zdjęty obawą wpadnięcia w ręce żołnierzy, oraz odpowiedzialności przed Komitetem organizacyjnym. Nie zgłosił się bowiem do nikogo z nas, nie uchwycił za żadną przypuszczalną nie organizację, lecz znalazł się nagle, już jako Karol Światodycz, w Czerniewie, majątku podówczas Jaźwińskich, gdzie przebywała wielkiej zacności i energii paniienka ś. p. Katarzyna Karnicka. Ta go czas jakiś przechowywała w kaplicy miejscowej, wreszcie w przebraniu kobiecem przewiozła odważnie do Mińska,

skąd podobno po wielu trudach zdołał się przedrzeć do Królestwa.

Niespodziane te wypadki napełniły trwogą o losy powstania bardziej doświadczonych ludzi. Postanowiono działać ostrożniej i oględniej jeszcze. Ale obawa powtarzania się takich, acz sporadycznych, wybuchów, zniewoliła i Komitet do stanowczego kroku.

Ogólne powstanie naznaczone zostało na dzień 15 kwietnia.

Pamiętam jak dziś tę chwilę, gdy wpadł do mnie Odyniec, komunikując mi tę wiadomość... Kazano mu naznaczyć punkt zborny, wziąć Mołodieczną, przyłączyć do partji jaki się uda personel szkolny, przejść Mosty, powiesić starszynę Sabosia i najszybszym krokiem iść na Lathyhol pod Łukawice, gdzie miał już nas spotkać Wincenty Koziello z głównym oddziałem.

Przejęci głębokiem wrazeniem, ale spokojni i rozważni, omówiliśmy szybko plan działania. Wincenty Odyniec, nad wiek wykształcony i rozwinięty, myśliwym nigdy nie był, a wojskowości nie lubił i radzić w niej sobie nie umiał. Przelaz więc na mnie swą godność, otwierając swobodnie do działania pole. Pojechaliśmy obaj w celu wyszukania odpowiedniego miejsca na punkt zborny. Miałem je już upatrzone

oddawna w lesie około grobli Izabelińskiej, na które i Odynec przyjechał.

Ostatnich dni parę nie schodziłem z konia, oznajmując wszystkim zaprzysiężonym o miejscu i czasie zebrania.

Biedna matka moja ze łąką w oku zawiesiła mi krzyż na piersiach. Ojciec zaś umyślnie wyjechał z domu, by się nie rozczulać i serca nie miękzyć!.. Włożyłem nasyconą dziegciem bieliznę, długie buty, sukienką czamarek z ładownicą u pasa, zarzuciłem tornister na plecy, a odkrywając się burką, byłem gotów do drogi. Podobny ubiór i rynsztunek mieli i moi towarzysze: student Berzowski i dwaj nasi domownicy: kuchcik Klemens Fiłon i pokojowiec, Jakób Specjan.

Cicho, jak złodzieje, wykradliśmy się o zapadającej nocy z domu. Za ogrodem czekał już poczciwy łysy kasztan z wozem wyładowanym bronią i amunicją.

Zrobiwszy znak Krzyża Świętego przed sobą, ruszyliśmy w świat. Zmrok zapadał coraz gęstszy, wreszcie ogarnęła nas ciemność zupełna. W duszy jednak było tak jasno i spokojnie, jak gdybyśmy nie na bój, lecz na wesele dążyli. Szliśmy lekko, pełni jakiejś nieokreślonej radości, pełni wiary, iż tak, jak i my, tysią-

ce ludzi w kraju porusza się w tej chwili.

Pierwszy punkt zborny naznaczyłem o pół mili od domu, w lesie Milucińskim. Powinno było tam stanąć co najmniej 50 — 60 ludzi. Tymczasem zjawilo się na apel za ledwie... dziewięciu. Czekaliśmy godzinę jedną, drugą... a gdy nikt więcej nie przybywał, pociągnęliśmy dalej ku Izabelińskiej grobli. Pewny byłem, iż jeden z moich kolegów uniwersyteckich z tejże okolicy tu się z nami połączy. Rachowałem na niego, jak na Zawiszę. Niestety, i z tej strony bolesny zawód mię spotkał! Kolegi nie było.

Ponieważ straciliśmy dużo czasu i było blisko północy, parliśmy więc gwałtownie koni, by nie dać na siebie czekać Odyncowi. Wtem, na skraju lasu zatrzymała nas pikieta. Wybiegł Odynec i rzuciliśmy się sobie w objęcia.

Nie wesołe było jednak spotkanie nasze. Ból rozczarowania po raz pierwszy ścisnął nam piersi. Ja miałem za ledwie 12, on 18 ludzi. Zawiodła większość zaprzysiężonych! Obliczywszy swą drobną garstkę i roztawiwszy pikiety z rozkazem nie wpuszczania zeń nikogo, usiedliśmy przygnębieni, łudząc się jeszcze i oczekując przybycia tych, którzy wcale przybyć nie myśleli.

VII.

Zbiegostwo. Pokrzyżowanie planów. Do Kozieliły! Dwa niebezpieczeństwa. Cechy ludowe.

Zmieniając pikietę postrzegliśmy, iż zniknął z obozu szlachcic zagrodowy, Czapliński. Wkrótce ujawniła się ucieczka kilku jeszcze innych ludzi... Bolesne rozczarowanie rosło. Zostało nas tylko dwudziestu kilku. Po naradzie, złożony koło, oświadczyliśmy wszystkim, iż wobec takiej dezercji dobrowolnie zwalniamy każdego, kto chce się cofnąć. My z Odyńcem we dwóch przedostaliśmy się do oddziału Kozieliły. Ogólny jednak okrzyk odpowiedział nam, iż wszyscy z nami iść pragną. Wobec tego z pewnem już uczuciem ulgi w sercu przystąpiliśmy energicznie do działania. Ponieważ cała sytuacja do gruntu się zmieniła i w miejscu 150 co najmniej spodziewanych ludzi, była nas tylko drobna garstka, nie mogliśmy wcale myśleć o wykonaniu naznaczonego przez władzę, ruchu. Zamiast więc ruszyć do Mołodeczna, postanowiliśmy manowcami przedostać się pod Łukawicę w celu połączenia się z Kozieliłą. Oprócz mego kasztana, mieliśmy kilka par dobrych koni u wozów, w których broń nasza ukryta była.

Oddziałek nasz, składający się z doskonałych strzelców, uzbrojony był dobrze, acz przeważnie w broń myśliwską. Oprócz kilku włościan, główną jego siłę stanowiła inteligencja, przeważnie z młodzieży uniwersyteckiej złożona. Między innymi byli: brat Wincentego, Ireny Odyńiec, trzech braci Ratyńskich z Kraśnego, Zdzisław, Alfred i Ernest, dr. Gabryel Jeśman ze swoim stangretem, Małachowski i kilku innych.

Ratyńscy, znający doskonale miejscowość, mieli nas manowcami wyprowadzić do Hranicz, skąd już znałem wszystkie boczne ścieżki dobrze, wystudjowawszy dawno cały teren z mapy topograficznej, którą miałem z sobą.

Wypasione konie rwały ostro. Broń nabita była pod ręką. Tylko sięgnąć, a byliśmy na każdy wypadek gotowi. Spotykani po drodze włościanie oglądali nas ciekawie. Ukryta broń w wozach uchowała nas od ich wniosków, podejrzeń, a może i zdrady. Tak minęliśmy Dworzec, którego właściciel, ś. p. Ignacy Kurowski, był pomocnikiem komisarza powiatu. W obawie narażenia go w oczach władz rosyjskich, nie wstąpiliśmy do niego w celu sprawozdania o zaszłych wypadkach, zmieniających plan działania nasze-

go, lecz daliśmy mu o tem wiedzieć listownie, wsuwając kartkę w rękę spotkanego ekonoma miejscowego, któregośmy byli pewni.

Wjeżdżając na trakt pocztowy, idący z Wilna do Mińska, postrześliśmy przy karczynie Mleczkowszczyźnie, około której przemknąć nam wypadało, błyszczącą w słońcu broń w kozłach, oraz uwijające się żołdactwo.

Była to jakaś przechodząca rota piechoty, która nam porządnego napędziła strachu. Zaledwie parę tysięcy kroków dzieliło nas od karczmy. Jadąc na przodzie z Alfredem Ratyńskim, ogarnąłem w mgnieniu oka grożące niebezpieczeństwo. Wnet rzuciłem swego kasztana na lewo i bez drogi, po kępach i zagonach, popędziłem ku gościńcowi, któryśmy koniecznie przerznąć musieli. Za mną podążyli i inni, lecz zaledwieśmy się znaleźli na trakcie pocztowym, z wysokiej jego góry w kierunku miasteczka Kraśnego nowe ujrzeliśmy niebezpieczeństwo. Oto poza karcznią, przy której gapiło się, żywo gestykulując, widocznie zaciekawione nami żołnierstwo, w oddaleniu wiorsty sunęła stępa secina kozaków. Jeszcze minuta, a jesteście zgubieni! Puściwszy więc konie w cwał, przelecieliśmy lotem błyskawicy z wiorstę jeszcze

traktem, skręcając nagle w zarośla na prawo ku Hraniczom. Skrywszy się w gęstych krzakach, stanęliśmy, by dać odetchnąć koniom i zorjentować się w groźnej sytuacji. Z ręką na broni, z bijącym sercem, gotowi do obrony, — czekaliśmy chwilę jedną, drugą... Rozległ się gwałtowny tentent kopyt końskich... Kozacy przegalopowali gościńcem ku Kraśnemu. — Byliśmy ocaleni.

Po przejściu pierwszego wrażenia, ruszyliśmy dalej przez Hranicze i Sycewicze, gdzieśmy w bród rzekę Udrzanę przebyli, w lasy Baksztańskie. Tu, rozstawiwszy pikiety, rozłożyliśmy się śmiało obozem. Rzeka i szeroko ciągnące się błota chroniły nas od pościgu.

Dawszy obrok koniom, wydobyliśmy swe zapasy żywnościowe, gawędząc swobodnie. W niektórych wsiach przejazd nasz budził zaciekawienie włościan. Jedni nas witali, — drudzy pytali:

— A dokąd to panice jada?

— Na oblławę! — odpowiadaliśmy wesoło.

Niektórzy na to kiwali z wątpiewaniem głową, mrużąc: oj, niebezpieczna to oblawa! Inni życzyli powodzenia. Jedna jakaś śmiała dziewczyna rzuciła:

— Szkoda ładnych paniczów! na takiej oblawie śmierć łatwo spotkać można.

Opowiadając to sobie i ciesząc się, że lud nasz nie wszędzie jest tak zły i wrogi, jak się okazał w Świeczkach, — żartowaliśmy wesoło. Któż w tem młodem kole, pełnem zapału i nadziei, mógł przypuszczać, iż słowa dziewczyny na niektórych z nas prędko, niestety, sprawdzić się miały.

Wtem, pewien hałas podniosła pikietą. Rzuciwszy się w tamtą stronę, postrześliśmy zatrzymanego przez nią chłopca, który przechodząc lasem do wsi Sycewicze, wypadkiem na pikietę się natknął. Chłop ten pochodził ze wsi Zahorce. Nazywał się Mikoła Danileczyk. Znałem go dobrze, lecz więcej ze złej, niż z dobrej strony. Musieliśmy go aresztować, zatrzymując do chwili odjazdu naszego. Ruszając dalej w kierunku przeciwnym, pozwoliliśmy mu dążyć do Sycewicz, a nagrodziwszy suto za strach przebyty, nakazaliśmy milczenie o spotkaniu z nami. Obiecał to uroczyście i, wbrew naturze Białorusa, nie wygadał się nigdy, dotrzymując tajemnicy aż do swej śmierci w roku zeszłym.

VIII.

W Łukawieckich i Manujłowskich lasach. Rodziewicz. Wzrost oddziału. Szybki pochód. Popas w Łukawcu. Puszczą Dżwinoska.

Zmrok zapadał, gdyśmy omijając Bućki, drogą wiodącą na Jurkowlany wjechali w sąsiednie lasy, skąd po krótkim wypoczynku dotarliśmy do głębokiej puszczy Łukawieckiej i znalazłszy w jej gęstem, zielonem wnętrzu wśród naturalnych barykad ze spróchniałych, omszonych zwalisk leśnych odpowiednie przy ruczaju miejsce, stanęliśmy obozem.

Po rozstawieniu zmienianych co godzina pikiet, wysłaliśmy d-ra Jeśmana do Chocieńczyce w celu zasięgnięcia u ich właściciela, ś. p. Józefa Wysockiego, wiadomości o Koziele, który w tej okolicy gdzieś przebywać musiał. Gdy wrócił nasz wysłaniec, dowiedzieliśmy się, iż Koziele z oddziałem, liczącym około 180 ludzi, był tu dziś jeszcze istotnie, lecz znikł znowu, zapadając bez śladu. Władze rosyjskie były już o rachy tym powiadomione i jutro spodziewane było przybycie wojska do Łukawca. Wysocki, poważany obywatel w okolicy, radził nam nie popasując tu długo zboczyć do Manujłów, gdzie Strzyżysław Rodzie-

wiecz z garstką zebranych ludzi chce się do nas przyłączyć.

Noc była chmurna i ciemna jak przepaść. Ruszyliśmy jednak ku Manujłom, idąc za radą Wysockiego. Przeprowa wśród ciemności była nader ciężka. Błąkaliśmy się, zbijając wciąż z drogi i zaledwie nad ranem, gdy świtać zaczęło, stanęliśmy w Manujłowskich lasach.

Powiadomiony o tem Rodziewicz przybył natychmiast, żądając paru dni czasu dla skomunikowania się z Koziełłą i zebrania swych ludzi. Musieliśmy więc te dni parę przeleżeć wśród niebotycznych jodeł pięknego, starego Manujłowskiego lasu, gdzie Rodziewicz wskazał nam uroczą miejscowość, przerznątą bystrym strumieniem. Nie brakło tu nam ani napoju, ani jadła, obficie ze dworu dostarczanego. Wśród czarów otaczającej nas przyrody, wśród tajemniczych poszumów i szeptów olbrzymów leśnych, te dni parę upłynęło nam, jak jedna chwila. W młodych piersiach grały znów świeże jak leśne poranki uczucia zapału i nadziei. Wszystkim służył wyśmienity humor.

Radość ogólną wywołał przyjazd do obozu naszego Ignacego Kurowskiego, pomocnika komisarza, z którego ust spadła na nas pochwała za rozsądne i taktyczne zaniechanie wo-

bec braku sił planu wzięcia Mołodeczny. Wywiedziawszy się o wszystkim, Kurowski odjechał, zabierając cały nasz tabor, wozy i konie, które następnie każdemu do domu odesłane zostały.

Odtąd stanowiliśmy już piechotę. Do partji naszej przyłączył się tu i student Wszechnicy Jagiellońskiej, Aleksander Lubowicki, z tu-tejszej również pochodzący okolicy. Wzrosł w liczbę a silni duchem oddaliśmy się pod komendę Rodziewicza, który i starszym i praktyczniejszym był od nas. Cieszył się przytem sławą niezrównanego myśliwego i doskonale znał miejscowość całą.

Koziełło z oddziałem swoim znajdował się już w Dźwinoskich lasach, na pograniczu powiatu borysowskiego o 7—8 mil. od nas. Tam miał nas doprowadzić Rodziewicz.

O brzasku wschodzącej jutrzrenki wyruszyliśmy do Łukawca, gdzie już były przygotowane dla nas konie, które niby przemocą wziąć mieliśmy, a które nas do Dźwinoskich lasów dowieźć miały. Z Manujłów do Łukawca było około wiorst 20. W celu wypróbowania sił naszych, Rodziewicz powiódł nas tak pospieszonym marszem, iż słabsi zaczęli przystawać na drodze, lub ze znużenia padać na murawę. Nowy nasz

naczelnik na to nie zważał i pędził dalej. Chociaż był tylko wzrostu króla Łokietka, miał krok nadzwyczaj szybki i wytrwały. Zrywali się więc i nasi maruderzy, doganiając nas raz po raz. Dla mnie, zahartowanego w tym względzie od dzieciństwa, gwałtowny ten przemarsz był niemal igraszką. Nigdy jednak już w życiu nie zdarzyło mi się iść tak wyteżonym krokiem. Rozweselającym duchem naszego oddziału był s. p. Aloizy Witkowski, syn miejscowego ziemianina, pełen wery i dowcipu. Sypał różne anegdoty, jak z rękawa, pobudzając cały oddział do śmiechu. Odznaczył się następnie wielką odwagą i męstwem i uchodził do końca za jednego z najdzielniejszych żołnierzy.

W Łukawcu, dziedziectwie Borowskiej, już nas oczekiwano. Znaleźliśmy suto zastawione stoły i gotowe konie. Po tem rannem przekłusowaniu się mieliśmy wilczy apetyt. Sprzątnawszy w mgnieniu oka wszystko, co było na stole, wdarliśmy się do stajen, rozkazując dać sobie kilkanaście par koni. Podano je momentalnie, chcąc nas również prędzej wyprowadzić w obawie nadciągnięcia roty żołnierzy, śledzącej w okolicy ruchy Kozieli.

Szybka jazda zajęła jednak godzin kilka. Wiozący nas fornale

dopytywali się o różne szczegóły wyprawy.

— Pobicie ich tylko, panicze, raz jeden, drugi—mówili—a zaraz i my i wielu naszych do was się przyłączy.

W okolicy Łukawca i Baturyna lud katolicki zdradzał niejednokrotnie życzliwsze usposobienie dla narodowej sprawy. Słowa fornali charakteryzowały głęboko jego sposób myślenia.

Na widnokregu zamajaczyły wreszcie sine, wielkie lasy. Zbliżyliśmy się do Dźwinoskiej puszczy, która miała być fortecą i osłoną naszą. Tu, w niedostępnych głębiach leśnych, mieliśmy się zorganizować należycie w karne oddziały wojskowe, pewni, iż jednocześnie w innych lasach i w innych miejscach tak samo inne organizują się partje. Koziello w oczach naszych wyrastał na bohatera, a że był oficerem inżynierji, zdawało się nam, iż pod jego dowództwem — cudów dokonamy.

IX.

Zbieg. Nieudana zasadzka. Pochód przez puszcze. Obozowisko Kozielły. Rekonesans. Nagłe spotkanie. Swoi!

Byliśmy już prawie u celu naszej podróży, u wrót puszczy Dźwinoskiej. Chłodny, wilgotny powiew ogarniać nas zaczynał, gdy nagle na skrócie drogi ukazał się nam... powstaniec. Nie mogło być wątpliwości w tym względzie. Zdradzał go cały wygląd, czamara, długie buty, pistolet u pasa i to zalęknienie, które na nasz widok w oczach się jego odbiło.

— Kto pan jesteś? krzyknęliśmy, otaczając nieznajomego.

— Ja... ja... Jasiński, wybelkotał przerażony szlachcic.

— Powstaniec? bez broni?—indagowaliśmy dalej.

— Straciłem dubeltówkę w lesie... Koziello rozbity—jąkał Jasiński—oddział cały w rozsypce... wszyscy uciekają...

Było to uderzenie gromu. Gładem więc posypały się pytania: jak? co? kiedy? Przyciśnięty do muru Jasiński zaczął się plątać coraz bardziej.

Widząc, że kawaler bałamuci i uciekinierem pachnie, Rodziewicz kazał go na nasze żądanie areszto-

wać. Opatrzność zsyłała nam przewodnika do obozu Kozielły.

Ponieważ puszcza była przed nami, odprawiliśmy konie z powrotem, wynagrodziwszy suto i pożegnawszy uprzejmie sympatycznych fornali, którzy nam tak przyjazne zmanifestowali uczucia. Braliśmy się na nie, jak muchy na lep, wierząc święcie jeszcze w możliwość zsolidaryzowania z sobą pewnej części ludu naszego.

Jasiński, szlachcic zagrodowy z pod Posadca, powoli wyśpiewał wszystko. Okazało się, iż Koziello zrobił na brzegu lasu zasadzkę na postępującą w ślad za nim rotę żołnierzy z Łohojska. Zasadzka niefortunnie obmyślana wykrytą została. Żołnierstwo, stanąwszy o pięćset kroków, przez parę godzin zasypywało las kulami. Oddział Kozielły ukryty za drzewami w gęstym zielonym podszyciu leśnym, nie odniósł żadnego szwanku. Kule zrywały wierzchołki drzew, łamały suche gałęzie, nie przyczyniając ludziom żadnej szkody. Znudzony wreszcie tem długim ostrzeliwaniem, Koziello, widząc, że nieprzyjaciel dalej się nie posuwa, pozwolił Leopoldowi Oświecimskiemu dać kilka strzałów z jedyne go sztucera, jaki oddział posiadał. Kiedy paru żołnierzy padło trupem, rota się zakołysała na chwilę. Wnet

jednak ogień się wzmógł, a strzały celniejszemi się stały. Ugodzony kulą śmiertelnie padł Antoni Polański. Wówczas Koziello kazał się cofnąć, zabierając ciało poległego towarzysza. Odwrót dokonał się w należyty porządku. Żołnierze jednak nie ruszyli się z miejsca, strzelając ciągle do pustego już lasu.

Przy odgłosie nieustających salw nieprzyjacielskich, pogrzebano zabitego Polańskiego, poczem oddział pomaszzerował dalej.

Jasiński leżał właśnie przy Polańskim w chwili, gdy kula pozbawiła go życia. Pod wrażeniem śmierci, zdjęty nieopisanym strachem, Jasiński drapnął z obozu.

Spotkanie z nami uniemożliwiło mu ucieczkę. Musiał teraz pod groźbą śmierci doprowadzić nas najprostszą drogą do jednego z obozowisk Kozielly, który w celach bezpieczeństwa w kilku naprzemian rozkładał się miejscach. Lękając się zdrady Jasińskiego, dano mu dwóch stróżów w osobach braci Ratyńskich z rewolwerem w ręku. Pod tym konwojem struchlały zbieg powiódł nas w głąb Dźwinoskich lasów. Oddziałek nasz w szeregach wyglądał pokaźnie. Liczył wprawdzie, jeśli się dziś nie mylę, zaledwie 36 ludzi lecz młodych, zdrowych a tęgiech zuchów, z dobrem acz przeważnie

myśliwskim uzbrojeniem. Pełni energii i nadziei, dotarliśmy do pierwszego obozu Kozielly. Świecił on pustką, tylko ciepłe jeszcze popioły wygasłego ogniska świadczyły o niedawnej tu bytności powstańców. Postanowiono tedy wciąż pod przewodnictwem skonfundowanego Jasińskiego iść dalej na przelaj ku drugiemu obozowisku. Rodziewicz jednak zechciał wprzód wysłać dwóch ochotników na wywiady do folwarku Dźwinosy. Stało nas dwóch: Gabrjel Jeśman i ja. Wysunawszy się ostrożnie na brzeg lasu, ujrzelśmy z daleka kilku kozaków, stojących nieruchomo, a pilnujących widocznie granicy leśnej. Oczywiście czatowano na Koziellę, który w puszczy dotąd ukrywać się musiał. Rozejrzawszy miejscowość dokoła, cicho, bez szelestu cofneliśmy się w głąb lasu, oznajmując czekającym na nas to, cośmy widzieli. Ruszyliśmy więc dalej, przedzierając się wśród stosów suchych gałęzi i młodych a gęstych krzaków iglastych. W owej epoce lasy Dźwinoskie, prawie nietknięte ręką ludzką, pełne zawałisk, bagien, naturalnych okopów z wywrótni i gałęzi, tworzyły nieprzystępną fortecę, w której, jeśli by żywności nie brakło, moglibyśmy długo się opierać i bronić. Utworzywszy straż przednią z dwunastu

nas młodszych, Rodziewicz z resztą oddziału postępował o kilkanaście kroków. Nad głowami naszymi szumiały gałęzie prastarych drzew, tworząc wraz ze świergotem spłoszonego ptactwa leśnego naszą wojskową kapełę...

Nagle, przed oczami naszymi w poprzecznym kierunku rozwinął się niby wąz, szereg szary, długi... Dawszy cichy sygnał, podsunęliśmy się żywo naprzód, pewni będąc, iż natknęliśmy się na nieprzyjaciela. Ścisnęliśmy broń silniej, pragnąc naraz dać wszystkie strzały i odskoczywszy raptownie zapaść w zarośla. Już braliśmy na cel sunące postacie szare... gdy nagle krzyk radości rozległ się gromkiem echem w lesie. To swoi! — to oddział Kozielły. Byliśmy złączeni!

Ciesząc się zobopólnie, rozpatrywaliśmy się i poznawali wzajem.

Oddział Kozielły liczył 180 ludzi. Nasza drobna partja nową doń wlewała siłę. Mając siebie jeszcze za nowozacieżnych, patrzaliśmy na tamtych, jak na starych wojowników, którzy przebyli pierwszy chrzest ognia, a więc z jakimś uznaniem i pewną ciekawością. Oni nas witali serdecznie, jak nierozdzielną już brać młodszą, a przejęci jednym zapalem wołaliśmy wszyscy: razem na wroga!



X.

Ostatnie świeczkowskie echa. Sidorowicze. Podanie ludowe. Obrazy ruchu. Organizacja oddziału. Władze cywilne.

W obozie Kozielły doleciały nas ostatnie echa smutnego epizodu w Świeczkach, gdzie po bitwie chłopci ze wsi Siemiernik i Chożowa, zbiwszy strasznie sędziwego Kurowskiego, grabiąc i rabując wszystko, dobijali rannych powstańców i łapali uciekających. Między kilku wziętymi do niewoli był młodzieutki podówczaś s. p. Soter Dederko, syn właściciela Oborka, nad którym mianowicie pastwiła się rozjuszona tłuszcza. Dwóch zwłaszcza włościan, Sidorowiczów, ze wsi Chożowa, mszcząc się za jakąś osobistą urazę, nasypawszy kamieni do torb od owsa, tłukli tem straszliwie związanego młodzieńca. Okrwawionego i omdlałego ocalał oficer dowodzący rotą, wyrwyjąc go z rąk oprawców.

Soter Dederko został następnie zesłany w głąb Rosji, skąd po kilkunastu latach wrócił do kraju.

O Sidorowiczach chłopci chożowscy pamiętają do dziś dnia. Nazwiska ich przeszły w podanie ludowe, jako przykład widomej kary Boskiej za popełnione zbrodnie, bo, jak dotąd mówi tradycja, choć przywieźli

ze Świeczek pełne fury rzeczy nagrabionych, oraz trzosa pieniędzy zdarte z poległych, nic im w korzyść nie poszło. Aleksy Sidorowicz, który najbardziej dokazywał w Świeczkach i najwięcej rabunkiem się przechwalał, zmarł nagle z dopuszczenia Bożego. Wsunął bowiem do butelki paczkę skradzionych banknotów, zakorkował szczelnie i zasmoliwszy zakopał. Gdy po niejakim czasie chciał skarb swój obejrzeć, znalazł wewnątrz butelki drobną myszkę, która, przegryzłszy korek, przez małą otwór weszła do środka i wszystkie banknoty na strzępy pogryzła. Pod wpływem tego ciosu oraz zbudzonych wyrzutów sumienia, Aleksy S. wyszedłszy z kosą na pole, padł nagle trupem. Drugi brat oszalał, „zły duch go opętał“, jak lud utrzymuje i—odjął sobie życie. Na rodzinę ich i potomstwo spadła niełaska Boża, bo nigdy i w niczem nie wiedzie się nikomu.

Tak lud miejscowy opowiada do dziś dnia. Notuję te szczegóły, jako ilustrację do charakterystyki włościństwa naszego. Tu też dowiedzieliśmy się, iż organizator partji oszmiańskiej, która po paru dniach istnienia rozproszoną w Świeczkach została, Olizar, vel Karol Światoldycz, był właściwie emisariuszem z Królestwa i nosił imię

Karola Nowakowskiego. Bokszański zaś, którego nazwisko do owej partji niejako przyłgnęło, mianował się właściwie Bokszczaninem.

Połączenie się z oddziałem Kozieleńskim podniosło jeszcze naszego ducha i nowe wlało w nas nadzieje. Już bowiem na wstępie usłyszeliśmy, iż w sąsiednim powiecie borysowskim utworzyła się partja Korkozowicza, a nieco dalej w ihumeńskim działa już z powodzeniem partja Bolesława Świętorzeckiego, pod komendą oficera Laskowskiego, że w mińskim i ihumeńskim uwija się pomysłnie oddział Pawła Dybowskiego (Zaremby), że w słuckim powstaje partja Maszewskiego, a w Małowidach, na pograniczu nowogródzkiego i wołkowyskiego, dwa inne silne oddziały powstańców bój wiedzą, że w Nalibockich i Wiszniewskich lasach nowe się jeszcze formują partje, a około jeziora Naroczy, ku Święcianom, organizuje się oddział, liczący już przeszło 200 ludzi, który się wkrótce połączy z nami.

Wierzyliśmy w to wszystko, jak w Ewangelję i rośliśmy sercem i duchem. Przyprowdziwszy nas do drugiego obozowiska swego, Kozieleńko, dawszy wobec całego oddziału surową naganę przyprowdzonemu przez nas Jasińskiemu, ukarał go,

stawiając pod broń na godzin parę. Potem zajął się organizowaniem swych hufców. Mnie kazał stanąć na czele kosynierów, których już formować zaczynał. Zdołałem jednak wyprosić się od tego zaszczytu, pragnąc pozostać w szeregu. Zwalniając mnie, Kozieliło naznaczył na to miejsce Zdzisława Ratyńskiego, który następnie pod Władykami odznaczył się szalonym męstwem..

Po paru dniach oddział cały był już należycie zorganizowany. Dzielili się na trzy plutony po 60 ludzi każdy. Pierwszym dowodził Czyżyk, oficer armji rosyjskiej, drugim Żołnierowicz, również były wojskowy, trzecim Leopold Óswiecimski, student kijowskiego uniwersytetu, człowiek młody i bardzo dzielny.

Przy sztabie było 10 kawalerzystów dla rekonesansów, pod dowództwem K. Borowskiego. Resztę stanowili kosynierzy, na czele których stał Z. Ratyński.

Do każdego plutonu wchodziły trzy kapralstwa, liczące po 20 ludzi. Ja z kilku towarzyszami wszedłem do pierwszego kapralstwa pod Rodziewiczem.

Słabą i drobną była siła nasza. Uważaliśmy się zresztą tylko za kadry tej armji, która w naszym ówczesnym przekonaniu zaczynała się tworzyć i niechybnie stworzyć

musiała. Występując w roli szeregowca, o zamiarach i planach Kozieliły nie mogłem wszystkiego wiedzieć. Czułem jednak i wiedziałem, iż narodowe władze cywilne przez cały czas naszej włóczęgi leśnej roztaczały nad nami swą opiekę i utrzymywały we wszystkim wzorowy porządek, jak w przesyłaniu rozkazów, wszelkich informacji i wiadomości, tak też w zaopatrywaniu nas w żywność, pieniądze, buty, broń i inne niezbędne artykuły. Broni było wciąż za mało, stąd wytworzył się projekt oddziału kosynierów i założenia kuźni własnej do przygotowywania kos, na które materiały był wciąż dostarczany. Kuźnie pracowały dzień i noc. Raz po raz do obozu zaglądali miejscowi pomocnicy wojskowego naczelnika powiatu, to jest ojca mego, ś. p. Aureljan Rodziewicz i Wł. Oskierka. Wpadali także Tukałło i Kurowski na konferencje ze sztabem. Wszystkie żądania Kozieliły wciąż pomimo trudności wielu momentalnie wykonywane były. Tak przynajmniej mogliśmy sądzić, nie będąc wtajemniczeni w zakulisowe roboty organizacji.

XI.

Ćwiczenia. Wołki. Manifest. Wrażenia i charakterystyka ludu. Bezelowa włóczega. Czyżyk czy Kozietłło? Bezczyność oddziału. Ułaskawienie Wołków.

Po zorganizowaniu oddziału należało go nieco wyćwiczyć w sztuce wojennej. W tym celu obecni w partji oficerowie armji rosyjskiej poczęli to niesforne zbiorowisko ludzi przerabiać na żołnierzy. Odbywały się więc ćwiczenia, na które występowały całe plutony.

Nauka była elementarna: obchodzenie się z bronią, strzelanie do celu, pół obrotu w prawo, pół na lewo i t. p. Rozsypywano łańcuchy, atakowano, cofano się i t. d. Nie była to pełna musztra wojskowa, lecz pewne o niej pojęcie, nadające karność i zgodną ruchliwość temu zbiorowemu ciału, które przedstawiliśmy. Po kilku dniach oddział nasz pod tą politurą wojskową inaczej się już prezentował. Wielkie w tem wszystkim usługi oddał Czyżyk, znający rzecz fachowo, pełen zimnej krwi, a niepospolitych zdolności człowiek.

Dnia pewnego pikiety podniosły trwoję. Na dane strzały rzuciliśmy się gorączkowo do broni. Okazało się jednak, iż ujęto tylko dwóch

szpiegów, którzy, pełzną jak gady pod obóz, wpadli w ręce pikiety. Byli to dwaj chłopci miejscowi, ojciec i syn, nazwiskiem Wołki. Związanych dostawiono do obozu, gdzie zostali zatrzymani.

W czasie tych leż w Dźwinoskiej puszczy dojeżdżali wciąż do sztabu różni przedstawiciele władz cywilnych. Z obozu wypadały częste rekonesanse w rozmaite strony. Codzień też niemal pewna część oddziału wysuwała się z puszczy do okolicznych wiosek i zaścianków, gdzie ogłaszała manifest Rządu Narodowego, darowujący bezpłatnie tym włóścianom, którzy udział w powstaniu wezmą, owe grunta, jakimi ich rząd rosyjski z długoletnim obdarzył wykupem.

Czy jakakolwiek wiarę budziły te manifesta wśród ludu? — wątpić dziś mocno należy. Nie wywołały one bowiem nigdzie pożądanego efektu. Ciemne masy wierzyły w siłę i na nią się oglądały. Gdyby powstanie wzięło pomyslniejszy obrót, znaczna część ludu niechybnie zwróciłaby się ku niemu, czując niezaprzeczenie większą sympatję ku wszystkiemu, co polskie. Widząc jednak słabość ruchu, pozostała przeważnie neutralną. W dobrach, gdzie poddaństwo nie było uciskiem, lecz raczej patryarchalną opieką, lud nawet pewną

życzliwość okazywał czasem. Nie zdradzał przynajmniej. Zdarzało się zaś, iż i żywność powstańcom do lasu nosił i o ruchach wojska powiadał, ale milczący, tajemniczy ten sfinks ufności nie budził. Gdy oddział nasz przeciągał przez wioski, niejednokrotnie spotykano nas z chlebem i solą, choć niewątpliwie ręką podającą kierował więcej strach niż serce. W partji naszej było wprawdzie kilkunastu włościan, ale przeważnie służbistów dworskich. Na ogół jednak, oprócz kilku sporadycznych wypadków, jak w Świeczkach i Władkach, oprócz chciwości i zdrady jednostek, włościaństwo w pow. wilejskim zachowywało się biernie.

Nazajutrz po ujęciu Wołków, wedle uchwały wojennej, ruszyliśmy w dalszy pochód. Dokąd i gdzie? — nie wiedzieliśmy. W pełnym militarnym porządku, z powiewającymi chorągwiemi, ze śpiewem narodowym ciągnęliśmy już nie manowcami, ale głównym szlakiem przez wsie i dwory. W Henrykpolu, majątku Oświecimskich, jedliśmy obiad. W Januskiewiczach Rychlewskich popasaliśmy wieczorem nieco dłużej. Tu podobno uniknęliśmy szczęśliwie niebezpieczeństwa, gdyż wślad za nami postępowały dwie rotы żołnierzy, o których jednak sztab tylko jeden wiedział.

Odtąd rozpoczęła się jakaś bezcelowa włóczęga po lasach, oraz po całym pogranicznym pasie powiatów: wilejskiego i borysowskiego.

Dnia pewnego dowódzca plutonu, Leopold Oświecimski, zebrawszy nas kilkunastu i zwróciwszy uwagę na tę niewyraźną sytuację, począł ostrożnie sondować: czy nie lepiej Czyżyka postawić na miejscu Koziełły? Oparliśmy się jednak temu, niestety, nie chcąc wszczynać rokoszów, których dość już było w przeszłości naszej. Wierzyliśmy jeszcze, iż Koziełło czeka tylko odpowiedniej chwili, by swą działalność rozwinąć.

Niedaleka jednak przyszłość okazała, jak wielką Oświecimski miał rację. Wróciliśmy tedy do naszej włóczęgi z lasu do lasu. Wchodziliśmy do wsi, zaścianków i dworów, ogłaszali manifesta, odbywali forsowne marsze i — nic więcej.

Mówiono nam, że wojsko pędziło się za nami, żeśmy się zaledwie z rąk jego wywinęli, aleśmy tego wojska i tej pogoni nigdzie nie widzieli i coraz wyraźniej czuć zaczęliśmy, że coś się źle dzieje. Zamiast walki podjazdowej, gerylasówki, zamiast rwania i niepokojenia wroga nocami zasadzkami, jak w partyzantkach Mierosławskiego, Prądzynskiego, Chrzanowskiego i t. p., do

których wzór dał nam ongiś Czarniecki ze Szwedami, potem Hiszpanja z Napoleonem,—my, trwoniąc czas i siły, włóczyliśmy się z kąta w kąt bez celu. Wielu z nas zaczynało się trwożyć, a urok Kozielej upadał z dniem każdym.

Przypominałem wówczas sobie słowa mego ojca i niepokój jego, gdy, po wyjeździe Jana Kozielej, naczelnikiem sił zbrojnych mianowany został Wincenty. Nie mylił się więc mój stary i na pewnych podstawach oceniał zdolność człowieka. Nie wiem, dlaczego ciągnaliśmy przez czas pewien za sobą owych dwóch Wołków, ujętych na szpiegostwie. Stróżowanie ich bowiem robiło kłopot w obozie. Wreszcie dnia pewnego naczelnik powiesił ich kazał. Już sznur na dębnie był zarzucony, już obecny w partji kapłan, ks. Gwałdecki z Wołkołaty, przystępował do wysłuchania spowiedzi skazańców, już twarze ich trupia przyoblekła bladość, gdy nagle ze wszystkich piersi wyrwał się krzyk jeden, wielki: łaski!.. przebaczenia!.. Czekał na to widać Kozielej, bo z pewną skwapliwością darował im życie. Chłopi, padając do nóg, przysięgali, że nigdy szpiegować i zdradzać nas nie będą. Wypuszczeni jednak wolno, pomimo tych zaklęć, drugi raz później wpadli nam w ręce.

XII.

Dołhinów. Wejście i kazanie. Do Dokszyc. Zwrot w lasy. Czujność władz cywilnych. Ruch wojska. Groźne wieści.

Była cudowna noc majowa, gdy forsownym marszem ciągnęliśmy w stronę Wilejki w celu opanowania Dołhinowa, ruchliwego miasteczka w okolicy. Srebrzyste promienie księżyca, oblewając cały widnokrąg, słały się na drodze naszej, budząc nieokreślone uczucie tęsknoty w piersiach.

Gdy po długim wałęsaniu się skierowano nas gwałtownie w tę stronę, szeregi myślały zrazu, iż na walną bitwą je wiodą. Ożywił się duch żołnierski i wytrysnął chóralnym pieniem, w którym zawsze przewodził znakomity baryton, Leopold Oświecimski. Echa leśne roznosiły słowa naszego śpiewu: „Przejdziem Wisłę, Bug i Niemen“, który tej nocy jasnej lał się wciąż z piersi młodzieńczych. Gdyśmy stanęli nad Wilją, którą w bród przebyć należało, setka conajmniej głosów huknęła znów: „Wiljo, naszych strumieni rodzico!“

Świtac już zaczynało, gdyśmy zbliżyli się do Dołhinowa. Wypocząwszy nieco, weszliśmy w blaskach majowego słońca, w pełnym ryn-

sztunku i porządku militarnym do miasteczka. Był to dzień wielkiego targowiska. Masa ludu zalegała wszystkie ulice.

Staliśmy przed kościołem. Jeden pluton, zniszczywszy kwaterę asesora, zajął posterunki pikietowe. Drugi stanął w rynku, trzeci przed kościołem.

Nasze kapralstwo, złożony broni w kozły, weszło do wnętrza świątyni, przepelnionej ludem po brzegi. Zaraz też u ołtarza ukazał się nasz kapelan, nieoceniony ks. Gwałdecki ze Mszą Świętą, po której rozległ się z ambony głos jego pełen siły i uczucia. Lały się do zgromadzonego ludu słowa proste a rzewne i serdeczne i budziły uspięne lub bojaźliwe dusze, zapalając w nich ogień miłości dla ojczyzny i ukazując wzniosły cel, do którego wszyscy dążyć winni. Była to jedna z tych mów elektryzujących tłumy. W kościele słyszeć się dawało łkanie kobiet. Lud cały płakał. A i u nas, żołnierzy niby, łza po łzie spadała z powiek.

Zdawało się, iż znaczna część tego tłumu pójdzie za nami. W rezultacie jednak zaledwie kilka osób przyłączyło się do naszego oddziału.

Z Dołhinowa ruszyliśmy ku Dokszycom traktem pocztowym, a ledwymy za miasto wyszli, gdy oczom

naszym ukazały się karabiny, zmykające przed nami. Czyżyk, idący w przedniej straży, puścił nasze kapralstwo w pogoń. Po wiorstowym niemal biegu dognaliśmy kilku żołnierzy z garnizonu wileńskiego, którzy, odprowadziwszy aresztantów do Dokszyce, wracali do Dołhinowa, lecz ujrawszy powstańców rzucili się do ucieczki. Zabrawszy broń, której nam wciąż brakło, Czyżyk puścił żołnierzy, wydając na ich prośbę świadectwo o rozbrojeniu przez powstańców. Po przejściu wiorst kilku, gdy zmrok już zapadał, Koziello zatrzymawszy na chwilę oddział, skierował go nagle w bok, nie ku Dokszycom, lecz ku Dźwinoskim lasom.

Widocznie starszyzna otrzymała jakieś niepokojące wieści, gdyż nie dając nam spocząć, gnała noc całą wyteżonym krokiem. Wschodzące słońce znalazło już nas w Moniakowie, majątku Brzezińskich, przez który tylko przejść nam należało. Upadaliśmy już z głodu i zmęczenia. Wdzięczność więc i radość była wielka, gdy właścicielka z dwiema pięknymi córkami spotkała nas u bramy z pełnym wozem chleba, wędzonek i słoniny. Rozchwytawszy to momentalnie, nie zatrzymując się prawie, ruszyliśmy dalej w lasy Moniakowskie, skąd po dniach paru

przerzuceni zostaliśmy do lasów Stajekich, ś. p. Seweryna Bohdanowicza.

Od tej pory zaczęliśmy unikać dnia, a maszerować tylko nocami. Widocznie obręcz żelazna w postaci wojsk rosyjskich ścisłała nas coraz bardziej.

Nie brakło nam jednak ani żywności, ani pieniędzy. Sztab opłacał zawsze hojnie wszelkie zwłaszcza przez włościan oddawane nam usługi. Nasze władze cywilne czuwały nad nami nie przestawały. Pomocnicy mego ojca, Wł. Oskierka, M. Świętorzecki, A. Rodziewicz i A. Tukałło, oraz inni urzędnicy byli zawsze na pogotowiu i w każdej potrzebie śpieszyli z pomocą. Jako najbliżsi sąsiadujący z okolicą, w której przebywaliśmy, wielkie, jak się później dowiedziałem, usługi partji oddawał Wł. Oskierka, oraz Ad. Tukałło.

Dzięki ich czujności mieliśmy wszystko aż do pism i gazet, oraz wieści z kraju. Były one jednak coraz smutniejsze. Wprawdzie sztab, lękając się osłabić ducha w oddziale, ukrywał wiadomości o niepowodzeniach walki, przenikały one jednak do obozu zewsząd. Wiedziałem jak i wielu z nas o wszystkim, lecz ani ja, ani inni nie tracili jeszcze nadziei.

Władze rządowe zbudzone już na dobre ruchem powstaniowym, podejmować zaczęły coraz energiczniejsze środki. Wojsko napływało wciąż do kraju, rozlewając się po wszystkich jego zakątkach, trapiąc zbierające się oddziały powstańców i paraliżując ich ruchy.

Stąd i partja Ostoi Czechowicza, tworząca się około jeziora Naroczy, która się z nami połączyć miała, nie mogła widocznie z racji rozsypanego wszędzie żołnierstwa posunąć się ku nam i do witebskiej gubernji przerzucić się musiała.

Taki sam los spotkał i oddział nowogródzki z pod Stwołowicz, pragnący się połączyć z partją ks. Łaskiewicza w Nalibockiej puszczy, w pow. oszmiańskim. Krążące wojsko rozproszyło oddział, aresztując po drodze do Mira czynnych jego organizatorów: Szalewicza i dwóch braci Klukowskich.

Areszty i prześladowania rozpoczynały się już na całej Litwie. Z wyjątkiem Żmudzi, gdzie jeszcze powstanie było w pełnej sile, ze wszystkich gubernji płynęły już do nas przeważnie alarmujące wieści.

XIII.

Pod Krasławiem. Wieści i wrażenia. Rozbite i czynne partje. W Zaciemieniu i Stajeckich lasach. Chłody i deszcze. Wypadek ks. Gwałdeckiego.

Wielkie, pamiętam, wrażenie zrobiła na mnie wiadomość z gub. witebskiej o napadzie chłopstwa na oddział hr. Leona Platera, którego znałem osobiście. Dzielnym ten człowiek (rozstrzelany następnie w Dyneburgu w d. 27 maja), napadłszy około Krasławia na rządowy transport broni, idący z Dyneburga do Dżisny, odbił około 400 karabinów. Ale właścianie okoliczni, przeważnie starowiercy, śledzący ruchy oddziału, dawszy znać władzom, sami się w ogromnej liczbie rzucili na powstańców. Napór tłuszczy uzbrojonej w kosy, widły i drągi, był tak silny, iż oddział oprzeć mu się nie mógł. Spaliwszy więc na rozkaz Platera część broni, resztę rzucił, ratując się ucieczką. W niedalekim dworze obywatela Mohla powstańcy przemienili konie, pędząc dalej. W ślad jednak za nimi gnała tłuszcza chłopska, rosnąca wciąż wskutek posiłków, przybywających pieszo i konno ze wsi okolicznych, zabiegających z boków i okrążających ze stron wszystkich. Nie było podówczas ani

dzisiejszych mauzerów i browningów, ani bomb ręcznych, ani nawet sztucerów, któreby rozjuszoną tłuszcę odsadzić mogły. Słaby oddział, widząc się otoczonym około wsi Dubna, poszedł w rozsypkę. Zabrakło prochu i nabojów.

Gdy nadciągnęło wojsko, już chłopcy łapali uciekających i znęcając się nad nimi, dostawili 67 powstańców do Dyneburga. Ranny podobno Leon Plater dostał się również do niewoli, a w kilka tygodni, jak się później dowiedziałem, po przybyciu Murawjewa do Wilna na śmierć skazanym został. Dwór Mohla chłopcy zniszczyli i spalili doszczętnie. Podobnemu losowi uległo kilka jeszcze innych ziemiańskich dworów, w okolicach Krasławia.

Z relacji ustnych oraz z dostarczanych nam gazet i pism różnych dowiadaliśmy się wciąż, tak o niepowodzeniach powstańców, jak też i o rosnących jeszcze nowych, świeżych partjach, ukazujących się ciągle w rozmaitych punktach kraju.

Wiedzieliśmy więc, choć nie wszyscy, bo sztab złe wieści ukrywał, iż w kowieńskiej gub. rozbitą już była partja Kulczyckiego i przybyłego z Francji Andruszkiewicza, którzy obaj polegli w bitwie około Szawel, zniesiony w Gełowajskich la-

sach oddział Cytowicza, liczący 140 ludzi.

Wiedzieliśmy, iż partja Narbutta i ks. Horbaczewskiego, uwijająca się w marcu w pow. lidzkim gub. wileńskiej, przerzuciła się do grodzieńskiej i tam część jej rozbitą została. Około 25 powstańców padło trupem a wojsko pochwyliło furgon i 12 osiodłanych koni.

Ale wiedzieliśmy również dobrze, iż w gub. litewskich trzymają się jeszcze silnie i funkcjonują partje: Traugutta, Jabłonowskiego, ks. Narwojsza, Włodka, Matuszewicza, Bohdanowicza, Alberta vel Gasperowicza, partja Kuszelejki, łącząca się z oddziałem ks. Mackiewicza, Szymkiewicza w Szawelskiem, ks. Łukaszevicza w Mołowidach, partje Lenkiewicza i Duchńskiego w Słonimskiem, Wysłoucha, Lubicza i Sasinowicza w Wileńskiem. Była jeszcze i jakaś partja w Święciańskiem, z którą, jak mi później mówił Ignacy Kurowski, mieliśmy się połączyć dla wykonania pewnego, przez komitet wyznaczonego, planu, ale wskutek niezręczności Kozieli, nie dało się to urzeczywistnić.

W gub. mińskiej powstawały lub były już wówczas w ruchu partje: Maszewskiego w Słuczczyźnie, rozbita zaraz po wystąpieniu. Partja Dybowskiego w pow. mińskim i ihu-

meńskim, znana pod imieniem partji Zaremby. Kiedy Dybowski musiał zemknąć do Turcji, partją tą czas jakiś dowodził Ruszczyce.

Wreszcie słynna, najliczniejsza i największe budząca nadzieje partja Laskowskiego, zwana partją Bolesława Świętorzeckiego.

W pow. mozyrskim oddział Rogińskiego, już przed miesiącem unicestwiony został. W pow. nowogrodzkim, tworzącym się oddziałom nie dawało się dotąd połączyć w jedną partję lub złąć z innymi.

Karmieni temi wiadomościami, które raz nas przygnębiając, częściej jeszcze upajały nadzieją, przybyliśmy do zaścianku Zaciemienia na dłuższy wypoczynek. Po parotygodniowej włościwie po raz pierwszy znaleźliśmy się pod dachem. Wyciągaliśmy więc z rozkoszą strudzone członki w stodołach i odrynach szlachty Zaciemieńskiej. Poczciwa szlachta, z której kilku młodszych zuchów przyłączyło się do naszego oddziału, karmiła nas doskonale, a oczęta jej dziewcząt patrzyła na nas, jak na bohaterów.

Dniówka w Zaciemieniu przeszła jak sen uroczy, a gdyśmy się stamtąd znów w Stajeckie zapuszczali lasy, dopisująca dotąd pogoda zmieniła się nagle. Dnie piękne i ciepłe

ustąpiły miejsca chłodom i słotom, jakie często zdarzają się w klimacie kraju naszego w maju. Pod tem ołowianem niebem, oblewani strumieniami zimnego deszczu, rozłożyliśmy się obozem w głębi Stajecznego lasu, niedaleko folwarku Maćkowce. Ponieważ w nocy nie wolno było rozpalać ognisk, chłód nam wielki dokuczał. Zmokli i zziębnięci, nie mogąc usnąć ani na chwilę, przypominaliśmy i opowiadali sobie różne przygody. Wszystkich zwłaszcza zajmował wypadek ks. Gwałdeckiego, który omal nie padł ofiarą nieuwagi pikiety, jeszcze w Dźwinoskich lasach. Wysłany na wywiady konno, bo ks. Gwałdecki był przytem doskonałym jeźdźcem, wracał z wycieczki do obozu, gdy stojący na pikiecie towarzysze nasi, dali do niego kilka strzałów, biorąc go za kozaka. Ocalał jedynie dzięki zręcznemu zwinięciu się pod konia, który został raniony.

XIV.

Deszcze. Przewidywania. Dostawy ze Stajek. Na ochotnika! Wyprawa do Maćkowców. Przygotowania. Gromy Kozieli. Chybiona zasadzka.

Deszcze lały ciągle i przedłużające się leże nasze w Stajecznym la-

sach nader ciężkimi czyniły. Czuć jednak było, iż coś się niezwykłego gotuje. Zdwojone pikiety, zwiększony rygor i czujność wielka kazały się domyślać, iż jesteśmy w przededniu poważniejszych wypadków. Czerwona, marsowata twarz Kozieli, o brwiach niezwykle ściągniętych, wskazywała jawnie, iż pod tem czołem nagle zoranem bruzdami jakaś myśl głębsza kiełkuje. W krótkiej swej czerkieskiej burce, z czerkieską szablą u boku, wciąż się naradzał ze sztabem, lustrując często swe obozowisko. Głód nam nie dokuczał. Dziedzic tych lasów i obszernych otaczających je włości, ś. p. Seweryn Bohdanowicz, jeden z rozumniejszych ludzi owego czasu, nadsyłał przez zaufanych swych dworaków z majątku Stajki nie tylko wszystkie produkta żywnościowe, ale też i cenne wskazówki i informacje dla sztabu.

Tak minęło dni kilka.

Jednego wieczoru zbliżył się nagle do naszego kapralstwa Koziello i zażądał dwóch ochotników. Wyskoczyło nas dziesięciu. Wybór jego padł na mnie i na studenta Szafkowskiego. Rozkazał nam pozostawić broń w oddziale, a podkraść się cicho do folwarku Maćkowców i przywołać do obozu mieszkającego tam leśnika.

Ruszyliśmy natychmiast i przedarłszy się przez gęste leśne zarośla, ujrzeliśmy otwarte pole, a z boku, bliżej granicy leśnej, wskazany folwark, należący do klucza Stajecznego.

Czytając nieraz opisy krajów podzwrotnikowych, podziwiałem zawsze zręczność i przebiegłość tych ludów dzikich, podobnych do psów i wilków w tropieniu nieprzyjaciół lub zdobywcy wszelkiej. Pojąłem to teraz nagle na sobie. Obcowanie ciągle z naturą oraz grożące niebezpieczeństwa wyrabiają w ludziach te instynkta zwierzęce samozachowawcze. Wszystkie zmysły stają się czulsze, ostrzejsze. Stało się to i z nami. Zanimby kto nas ujrział, mybyśmy go już widzieli, zanim usłyszalibyśmy go podśluchali, przewachali, przeczuli.

Ledwośmy się wysunęli na brzeg lasu a już okiem objęliśmy horyzont cały, widząc na nim każdy punkcik stokroć lepiej, niż przedmioty rozrzucone w tej chwili na biurku mojem.

Z tego jednego głębokiego rzutu oka przekonaliśmy się, iż kozacy są w Maćkowcach. Postanowiliśmy tedy czekać zupełnego zmroku. W ostatnich gasnących światłach dostrzegliśmy poruszający się ogon jednego konia, a wkrótce rysie oczy nasze

ujrzały już w ciemnościach ciemniejszą jeszcze linię posuwających się jeźdźców. Kozacy pomknęli do Stajek.

Zaczelśmy pełznąć powoli, ostrożnie, nadsłuchując uważnie. Coraz gęstsza pokrywała nas ciemność. Dając bacność na każdy najlżejszy szmer lub szelest, pod osłoną tej chmurnej nocy dopadliśmy do zabudowań folwarcznych. Kozaków nie było. Żona jednak leśnika, którego nie zastaliśmy w domu, poczciwa i roztropna kobieta ostrzegła nas, że z kilku słów kozaków wywnioskować mogła, iż wiedzą dobrze, gdzie się nasz oddział znajduje. Wkrótce nadszedł i leśnik, z którym z mniejszą już ostrożnością wróciliśmy do obozu, gdzie nas niecierpliwie wywglądał Koziello.

Jakie mu wieści leśnik przyniósł, jakie rozkazy poniósł—nikt w oddziale nie wiedział.

Ku wieczorowi dnia następnego kazano nam, korzystając z głuźdzącej echo dżdżystej i wietrznej pogody, wystrzelać stare ładunki, przeczyszczyć broń i nabić, aby każdy był pewnym swego strzału. Rozdano nam następnie furaz, składający się z chleba i słoniny na dni trzy, zabroniono wszelkiego hałasu i zalecono wczesne udanie się na spoczynek, gdyż nazajutrz o świcie mieliśmy być zbudzeni.

Rozkazy te dały nam wiele do myślenia. Pożądana rozprawa z nieprzyjacielem widocznie się zbliżała. Gawędziliśmy o tem szeptem z sobą, zjadając z apetytem tego wieczoru cały trzydniowy rozdany nam furaz. Nie wierzyliśmy w brak jada i możliwość głodu.

Posiliwszy się znakomicie, poukładaliśmy się w improwizowanych szałasach z gałązek jedliny, które nas nieco od deszczu chroniły. Dyżurującym dnia tego był oficer Walicki. Spałem, jak suseł, gdy nagle zbudził mię piorunujący głos Koziello.

Zerwałem się na równe nogi. Za mną wyskoczyli inni. Właśnie wschodziło słońce. W ciszy pogodnego poranka grzmiał wciąż, jak Jowisz, Koziello:

— Ja pana aresztuję!... ja pana zaraz rozstrzelać każę!...

Przed naczelnikiem stał z pochyloną głową, ze łzami niemal w oczach, blady, zmieszany Walicki. Wokoło ulubiony sztab Koziello, a więc p. Kaź. Borowski, August Koziello i paru innych. Scenę tę coraz ciasniejszym wieńcem otaczała szeregowa brać nasza, która budząc się ze snu, na hałas nadbiegała. Wtem rozległ się cichy, spokojny, lecz pełen stanowczej siły głos Czyżyka: — Panowie! — uciszcie się.

Wszystkim jakoś naraz zamknęły się usta. A w ciszy majowego poranku zagrały o wiorstę mniej więcej od nas wojenne sygnały kozaków i zadudniała ziemia pod kopytami ich koni.

— Wszystko stracone! — szepnął z ciężkim westchnieniem Koziello.

Mózg mój oświeciła nagle błyskawica. Zrozumiałem.

Miała być zasadzka, pierwsza nasza zasadzka — i ta się nie udała. Kozacy miarowym kłusem przeciągnęli przez groble. Ponure milczenie zaległo w obozie naszym.

Walicki w postaci delikwenta stał wciąż kornie, chwiejąc się na nogach. Wreszcie Koziello machnął nań lekceważąco ręką i odwrócił się do sztabowców. Wówczas dopiero dowiedziałem się, iż znakomicie osnuty plan zasadzki, w której mogliśmy zmiażdżyć secinę kozacką, nie został wykonany wskutek nie dbalstwa Walickiego.

XV.

Skutki grogu. Kto winien? Smutne następstwa. Wieść o kaźni. Wyjście z puszczy. Rzeka. Władyki. Przeprawa.

Z zasadzką rzecz się tak miała: Koziello został sekretnie powiadomiony o dniu i czasie przejścia 100

kozaków kilkowiorstową groblą leśną, leżącą na drodze z Olkowicz do Ilji. Od tej grobli obóz nasz był zaledwie o parę wiorst oddalony. Po obu stronach grobli las gęsty, oraz pobrzeżne zarośla ułatwiały zasadzkę. Kozactwo miało przechodzić o świcie i mogło być wytłuczone do nogi.

Kilka zaledwie osób było wtajemniczonych w tę sprawę. Błąd wielki zrobił Koziello, kiedy układając się wraz z innymi do snu tej nocy, polecił jedynie Walickiemu czuwanie i zbudzenie sztabu zaraz po północy, w celu przeprowadzenia zawczasu szeregów na pozycję. Walicki, któremu Koziello tak zaufał, czując chłód i sennosć, zlustrowawszy pikiety, rozniecił mały ogień i nagrzał sobie grogu. i Gorący trunek upoił go i—całą znweczył sprawę. Walicki usnął i spał snem sprawiedliwego do rana. A gdy się i wódz naczelny rozbudził, już słońce drwiło z kunktatorów, zaglądając im w oczy, a kozacy spokojnie wjeżdżali na groblę.

Czyja w tem była wina? czy oficera czy naczelnego wodza?

Walicki odpowiedział za nią przed ludźmi. Koziello poszedł pod Władykami zdawać rachunek przed Bogiem.

Chybiona ta zasadzka wydała na-

stępstwa, smutnie wpływające na losy naszego oddziału. Jeśliby kozacy zostali przez nas zmiażdżeni, bitwa pod Władykami nie miałaby miejsca.

Budzący się antagonizm między Koziellą a Czyżykiem był niewątpliwie powodem, iż wódz naczelny usunął go niejako od tej sprawy. Gdyby Czyżyk w miejscu Walickiego stał na posterunku, rzeczby niechybnie inny obrót wzięła.

Szumiały mi wciąż w uszach słowa Leopolda Oświecimskiego, rzucone nam jeszcze w Januskowickim lesie. Przekonałem się, iż znał i oceniał ludzi głębiej od nas.

Po nieudanej zasadzce staliśmy dzień cały na miejscu, jakby nie wiedząc, co dalej z sobą czynić mamy.

Czyżyk się nerwował, a Koziello siedział ponury i milczący. W obozie rozprawiano o pierwszej kaźni w Wilnie, o rozstrzelaniu ks. Iszory w dn. 8. maja.

Wiadomość ta świeżo przeniknęła do lasu, robiąc na wszystkich głębokie wrażenie.

Ku zachodowi słońca kazano nam zwinąć obóz. W parę chwil wszystko było gotowe. Już konie stały objuczone amunicją, kotłami, zapasami chleba i mąki, gdy na swym małym, żwawym wierzchowcu uka-

zał się Koziello w otoczeniu swego konnego sztabu i ruszył wązką leśną drożyną. Za nim szły nasze szeregi parami. W środku obóz, którym kierował Aleksander Lubowicki. Nasze kapralstwo zamykało niejako koniec tego długiego węża.

Noc zapadała powoli i wkrótce w gęstym, dziewiczym niemal lesie jodłowym ogarnęła nas ciemność zupełna.

Ścieżka, którą postępowaliśmy, okazała się pełną głębokich i błotnistych brodów, powstałych wskutek ostatnich kilkudniowych deszczów. Konie juczne przechodzić ich nie chciały. Opór zwierząt wstrzymywał wciąż cały pochód. Wtem rozległ się donośny głos jednego ze sztabowców, zwrócony do kapralstwa naszego.

— Panowie!—na ochotnika do jucznych koni, bo te w bród iść nie chcą.

Skoczyło nas kilku: między innymi i hr. Henryk Tyszkiewicz.

Ciężka to była robota. Konie się opierały i narowiły. Wśród strasznej ciemności, brnąc po kolana w wodzie, do której przemocą konie się wpychało, nagłeni przez starszą, z trudnością posuwaliśmy się naprzód. Konie grzęzły co chwila i trzeba je było literalnie za uszy wyciągać z błota. Rozumieliśmy, iż

pochodu zatrzymywać nie możemy, więc z nadludzkim wysiłkiem parliśmy naprzód, chcąc zadaniu swemu podołać. Zdawało mi się, iż noc ta i droga końca mieć nie będą. Świtać już zaczynało, kiedym wreszcie wrócił do szeregu.

Las stawał się coraz rzadszy i zaledwieśmy się z niego wychylili, gdy szeroko rozlana rzeka rzuciła mi się w oczy. Była to Ilja, której małe zwykle wody wezbrały teraz wskutek deszczów i wystąpiły z brzegów. Błyszczący w słońcu szeroki szlak wodny przecinał nam drogę. Musieliśmy go przebyć oczywiście, ale jak?—Pytanie to rozwiązywało kilkunastu naszych ludzi, budujących tratwę z drzewa, złożonego na brzegu do spławu. Spozstrzegłem wnet mego Klemensa i Jakóba, uwijających się zawzięcie z siekierą w rękę wśród innych podobnych sobie szaraczków, którzy przy tej robocie czuli swą wyższość nad nami.

Pracowali z gorączkowym pośpiechem. Drzazgi sypały się i leciały na wszystkie strony. Patrząc na to, pomyślałem, iż nigdy już chyba tak gwałtownej roboty nie zobaczę...

Poza rzeką, nieco w lewo, w półtorawiorstowym oddaleniu, leżała wśród zielonego tła szara wioszczy-

na. Były to Władyki. Przed nami trochę zarośli, oraz młody, rzadki las sosnowy. Z boku łączka, na której się pasły konie włościańskie. Wioskę, borek i łączkę okalała dalej znów ciemna, głęboka puszcza. Do niej właśnie wiódł nas Koziello, kierując się widocznie w okolice Łukawca. Dlaczego jednak wyszliśmy z głębi leśnych tutaj, na więcej otwarte miejsce przy wiosce, gdzie rzeka była najszerszą, gdy o wiorst kilka koryto jej było węższe, przeprawa łatwiejsza? — Odgłosy siekier przy tratwach zwróciły wnet uwagę włościan. Kilku z nich, noclegujących przy koniach, zbliżyło się do Kozielly, który z dziwną ufnością wręczył im kilka rubli z prośbą o dostawienie wódki.

Tratew powoli przewoziła naszych na brzeg drugi. Kapralstwo nasze, za zezwoleniem Rodziewicza, drzemało na brzegu. Kiedym się kładł, pamiętam, jak Rodziewicz, patrząc na mnie, serdecznie rzekł:

— Wypij trochę wódki, boś zmarzł, jeszcze mi się rozchorujesz.

Zasnąłem jak kamień i śniłem matkę moją. — Zbudził mię jednak prędko Rodziewicz, pakując wraz z całym kapralstwem na odpływającą tratwę.

XVI.

Bitwa pod Władykami.

Był dzień 16 maja.

Gdym się znalazł na drugim brzegu rzeki, rozejrzałem się dokoła. Towarzysze rozsypali się po całym sosnowym lasu. Gwaro tu było i wesoło. Jedni, zdjąwszy broń, wyciągali się na murawie, drudzy, w gromadkach rozprawiali swobodnie. O kilka kroków odemnie stał Koziello, wypytując o coś paru włościan nadbiegłych ze wsi. Twarz naczelnika była spokojna. Nie przewidywał żadnego niebezpieczeństwa.

Przedemną szumiąca rzeka, poza którą na skraju ciemnej puszczy stał Czyżyk, oczekujący z kilkudziesięciu jeszcze ludźmi na tratwę.

Usiadłem na pniu, drząc cały w przemokłym ubraniu.

W tem pikiety nasze dały strzał jeden i drugi... Jednocześnie niemal rozległa się salwa i grad kul osypał nas dokoła. Usłyszałem krzyk:

— Do łańcucha, panowie!

Ale łańcuch już się nie sformował. Rzuciliśmy się w sosnowe zarośla ku wiosce, jedni na lewo, drudzy na prawo lub wprost przed siebie.

Raz ostatni mignął mi w oczach Koziello, bez czapki, z burką na ramionach, z szablą wzniesioną w górę.

Kapralstwa i plutony zmieszały się odrazu. Każdy leciał na osłep naprzód, pragnąc tylko intyktownie nie wpuścić nieprzyjaciół do lasu, stanowiącego jedyną obronę naszą.

Gdy pierwsze kule świsnęły nad głową, włosy mi na chwilę stanęły dębem.

Błyskawicznie pojąłem, iż w tej sytuacji jesteśmy zgubieni!... Potem już żadnego strachu nie czułem, pragnąc tylko, jak i wszyscy, najdrożej życie swe sprzedać.

Pędząc na lewo, natknąłem się o kilkadziesiąt kroków na łańcuch roty moskiewskiej, rozrzucony szeroko. Ilekroć się jednak zmierzałem do strzału, wnet ktoś z za plec moich, śmiejąc się wesoło, kładł żołnierza trupem.

Był to Aloizy Witkowski, jeden z najdzielniejszych i najweselszych towarzyszy naszych.

Wtem znów z boku trzask i dym. Kula śmignęła mi koło twarzy, lecz i ja wpakowałem cały nabój grankulek w plecy uciekającego w szynelu żołnierza. Chwyciwszy jego karabin, podniosłem, wołając:

— Bierzcie, kto potrzebuje!

— Takiego świństwa nikt brać nie chce—krzyknął Witkowski, pędząc dalej i nabijając broń w biegu.

Słońce tymczasem, wyjrawszy z za chmur, rozlało swe iskrzące

południowe promienie. Ujrzelśmy wówczas na wzgórzu pod wioską skoncentrowaną piechotę rosyjską, która małemi oddziałami w tyraljerkę nas atakowała. Kilkakrotnie łańcuchy jej, gdy strzały powstańców zwały kilku żołnierzy, gwałtownie się cofały, lecz na głos komendy wracały ponownie. Najsilniej atakowane i osypywane kulami było miejsce naszej przeprawy przez rzekę, gdzie pewna garstka powstańców bronila się rozpaczliwie. Kule nie oszczędzały i flanków. W gromadce naszej, składającej się z dwudziestu kilku ludzi, padł jeden i drugi. Nagle postrzegłem obok siebie Leopolda Oświecimskiego, wołającego głośno:

— Wystrzelają nas tu do nogi.—
Na ziemię, panowie, łańcuchem!

Momentalnie leżeliśmy wszyscy wśród krzaków, strzelając w stronę nieprzyjaciół. Broń jednak nasza nie donosiła tak daleko. Po upływie pewnego czasu postrzegliśmy, iż jesteśmy już po za sferą ognia. Ścisnąc się wciąż koło łańcucha moskiewskiego — ominęło nas. Chociaż niebezpieczeństwo nie groziło na razie, paru braci szlachty, zdjętych szaloną paniką, odchodziło od przytomności. Jeden z pod Dołhinowa zwłaszcza, którego, gdybym był portrecistą, dziś jeszcze mógłbym odma-

lować, leżąc na wznak, z nabitą dubeltówką pod głową, z osłupiałymi oczami w niebo utkwionemi, trzepał jak w ekstazie koronkę do Przemienienia Pańskiego, nic nie widząc i nie czując, co się wokoło niego dzieje. Nie mogliśmy go zbudzić z tego odrętwienia. Pamiętam, jak ktoś przyskoczywszy, dał mu porządnego przytka w nos. Szlachcic nie drgnął nawet. Musieliśmy go zostawić w tym stanie. Niewątpliwie został zabity lub wzięty do niewoli.

Kanonada nie ustawała. Od czasu do czasu krzyk trwoży lub boleści przecinał powietrze. Nawoływania naszych głużyła rosyjska komenda, posuwająca się z pod wiośki wciąż bliżej i bliżej. Nasza — uciechła oddawna. Naczelną wódz pierwszy padł trupem. Czyżyk był po drugiej stronie rzeki.

Daremnie dowódcy plutonowi nawoływali zrazu do porządku. Po pierwszych strzałach, padłych niespodzianie, chaos zwiększał się ciągle, każdy jak na polowaniu działał na własną rękę i bił jak mógł i umiał wroga, nie myśląc o poddaniu się wcale. Syn Strzyżysława Rodziewicza padł raniony w nogę. Dźwignąwszy się nieco, począł nabijać broń ojcu, który klęcząc przy rannym, siekł nieprzyjaciół czas długi, aż

wreszcie zakłuty wraz z synem bagnetami został.

Dowódzca kosynierów, Zdzisław Ratyński, rzucił się ze swoimi jak lew na nieprzyjaciół, siejąc chwilo-wo zniszczenie w ich szeregach. Słabsze od kul kosy opadły jednak prędko. Wśród zabitych i rannych kosynierów żołnierze zaatakowali Zdzisława. Lecący mu na pomoc brat jego, Alfred Ratyński, padł śmiertelnie ugodzony kulą. Żołnierze, chwyciwszy Zdzisława na bagnety, kilkakrotnie go w górę na ostrzach podnieśli, pastwiąc się nad nieszczęśliwym. Złany krwią, omdlały młodzieniec, rzucony został jako trup na polu. Nazajutrz, wśród poległych, znaleziono go jeszcze w życiu. Był odarty do naga. Oprócz paru ran postrzałowych miał kilkanaście ran kłutych. Wzięty do niewoli, pomimo straszego wpływu krwi, nie umarł i zdołał przebyć długie a ciężkie wygnanie, po którym ze sterynem zdrowiem wrócił do kraju i osiadł na Żmujdzi, bo mu w rodzinnych stronach pobyt został wzbroniony.

XVII.

Kleska.

Wszczęta w fatalnych warunkach, bitwa pod Władykami, pomimo bohaterstwa i męstwa jednostek, musiała się zakończyć straszną dla nas klęską.

Wzięty niespodziewanie w ogień, oddział nasz, już po pierwszych strzałach utracił dowódcę, zachwiał się odrazu i rozrzucił na wszystkie strony. Nieprzyjaciel, sprowadzony z miasteczka Illi zaraz po naszym wyjściu z lasu przez miejscowych chłopów, liczył widocznie na większą siłę i opór powstańców, bo choć zaskoczył i okrążył nas z nienacka, atakował zrazu nader ostrożnie i, rzec można, z pewną bojaźnią. Dopiero około południa, gdy słabe siły nasze zostały zdemaskowane należycie, dowodzący wojskiem rosyjskiem, pułkownik Gall, uderzył całą swą siłą, trzymaną w rezerwie za wioską.

Gwałtowny ten atak rzucił powstańców do pieniającej się rzeki. Wobec przeważającej siły wyćwiczonego i doskonale w porównaniu uzbrojonego żołnierza, dłuższa walka naszej rozpierchłej garstki z bronią myśliwską w ręku była niemożliwą. Jeszcze chwila oporu, a cały oddział ległby trupem.

Pod naciskiem ostatniego ataku za ledwie powstańcy zostali wepchnięci w rzekę, poza którą głęboka puszcza wyciągała ku nieszczęsnym rozbitkom swe ciemne ramiona.

Zaszumiła i zabarwiła się naraz woda. Na placu boju pozostali tylko ranni i polegli.

Pędząc wraz z innymi ku rzece, spostrzegłem, jak Aloizemu Witkowskiemu, przesadzającemu płot, zaczepiła się burka, a w tejże chwili błysnęło nad nim ostrze bagnetu i ręka jakiegoś junkra zamachnęła się groźnym ciosem.

— Dzień dobry, panie Samowicz, krzyknął wesoło Aloizy, odskakując na bok z elastycznością kota, spotykaliśmy się na balach w Mińsku, tak, przypominam. Teraz widzę chcesz krwawo odnowić znajomość. No! do brze, pogadamy z sobą.

I kończąc w biegu nabijać dubeltówkę, zwrócił się nagle do pędzącego za nim junkra, a kłaniając mu się z galanterją salonową, zawołał:

— Już jestem gotów, panie junkrze!

Zanim ten jednak zdążył go pchnąć bagnetem, już Aloizy wpakował mu cały nabój w piersi i śmiejąc się popędził dalej.

Patrzając na tę scenę, dosięgałem już rzeki, gdy nagle zostałem oto-

czony kupą żołdactwa. Błysnęły mi w oczach bagnety, wymierzone w pierś moją. Zdawało się, iż ostatnia wybiła już godzina. Dzięki jednak niebu, rewolwer mnie nie zawiódł. Położywszy ogromnego draba trupem, przesadziłem płot jednym skokiem i wpadłem w wodę.

Tu dopiero postrzegłem z żalem brak ulubionej dubeltówki, którą w tych zapasach z żołnierstwem utraciłem. Wnet jednak uwagę moją ściągnął Leopold Oświecimski, który brnął jak łoś w wodzie o kilka kroków przodem, służąc niejako za cel dla pocisków żołnierskich.

Krzyknąłem nań, by się położył. Woda tu była jeszcze nader płytka. Mogliśmy więc leżąc wśród sitowia rzecznoego, sunąć jak szczupaki naprzód ku puszczy, która nas jedynie uratować mogła.

Za nami, ustawiona we dwa szeregi piechota moskiewska prażyła nieustannym ogniem naszych towarzyszy, znajdujących się na środku rzeki lub dopływających do przeciwległego brzegu. Nas widocznie uważano za straceńców, żałując kul na tych, co ostatni odpływali od brzegu.

Posuwając się ku środkowi rzeki, postrześliśmy przed sobą będącego w oddziale naszym kleryka, który płynął z pewnym już wysiłkiem, niosąc ze sobą rannego towarzysza.

W oczach naszych kula dosięgła ostatniego. Drgnął tylko i poszedł na dno. W parę chwil zabarwiła się znów woda około biednego kleryka. Rzucił się parę razy gwałtownie i zniknął w wodnych falach.

Wpadliśmy wreszcie w sferę ognia. Grad kul zasypywał nas literalnie, świszcząc w powietrzu i pluskając w wodzie. Dotąd brnęliśmy po zalanych brzegach rzeki. Teraz znaleźliśmy się w jej środku.

Szeroka, lekko falująca, błyszcząca w słońcu tafła wodna, pokryta była głowami ludzkimi, wśród których tworzyły się wciąż czerwone plamy, mącące srebrzystą czystość wody. Raz poraz głowa ludzka zanurzała się pod wodę i — niknęła w jej głębi.

Tu i owdzie unosiły się nad powierzchnią konwulsyjnie drgające ramiona lub wyciągnięte rozpaczliwie dłonie, wzywające ratunku... świst kul mieszał się z jękiem ludzkim, z okrzykami bólu i słowami modlitwy. Blade usta rannych lub tonących wzywały pomocy Boskiej...

Ktoś obok mnie wołał głośno: „Pod Twoją obronę”. — Obejrzałem się. Mignęła mi szpakowata czupryna i oczy krwią zalane, gdy wnet z drugiej strony rozległ się jęk cichy i jasna twarz młodzieńcza osu-

nęła się w wodę, krwawą po sobie zostawiając plamę.

Już blisko brzegu postrześliśmy słabnącego Lubowickiego. Skoczyliśmy ku niemu, a w parę chwil znaleźliśmy się za szerokim krzakiem olszyny, jeszcze po kolana w wodzie, lecz już poza rzeką, nad którą kule nieprzyjacielskie siały śmierć wśród naszych towarzyszy.

Wstrząśnienie było tak silne, iż wszystkie uczucia skamieniały niejako w piersiach. Dziś, gdy to piszę, po latach 40 kilku, jeszcze obraz tej rzeki, w której wyginał kwiat naszego powiatu, przenika duszę do głębi i chyli czoło smutną, głęboką zadumą...

Za krzakiem ogień moskiewski nas nie dosięgał, lecz chcąc się dostać do lasu musielibyśmy przebieść jego linję. Postanowiliśmy zrazu czekać tu nocy. Straszny chłód jednak w przemokłym ubraniu wypędził nas z chwilowego stanowiska. Rzuciliśmy się więc w Imię Boże do lasu i brnąć po rozmokłej łące, padając i zrywając się, cali, nie ranieni dopadliśmy wreszcie do gąszczy leśnych.

XVIII.

W puszczy. Pierwszy ból i pierwsze wrażenia. Do Bobrówki. Głód. Spotkanie kozaków. Szafkowscy. Krycie się w lasach. Raj ziemski. Smutne przebudzenie.

Byliśmy ocaleni!.. Przemokli do nitki, zabłoceni strasznie, obryzgani krwią, zmęczeni moralnie i fizycznie, padliśmy na mchy leśne, bezpieczni w tej puszczy, jak dzieci w objęciach matki, lecz niewypowiedzianie zbolali i przygnębieni. Pękały i rwały się wszystkie nici naszych marzeń i nadziei!.. Cios był straszny. Pierwszy zawód, pierwsze rozczarowania młodości są zawsze najdotkliwsze. Serce przeszywał ból beznadziejny!.. Za nami kanonada nie ustawała. Dusza targała się w mękach rozpacz... Nikt więcej nie przypływał... Byliśmy ostatni. Widocznie strzelano do lasu.

Kto został z towarzyszy i gdzie się podziwał? pytaliśmy siebie, wymieniając nazwiska tych, którzy w oczach naszych legli na placu boju lub poszli na dno rzeki. Gdzie i jak połączymy się z tymi, co ocalili? W lesie panowała głucha cisza. Nie odzywało się nawet spłoszone strzałami ptactwo leśne. Lękaliśmy się krzyknąć, odezwać, by nie wprowa-

dzie wroga na ślad rozbitków naszych.

Ochłonawszy z pierwszego ciężkiego wrażenia, postanowiliśmy nie rozłączać się i myśleć o nowej organizacji.

W celu wykonania tej myśli należało dotrzeć do jakiegoś punktu oparcia. Leopold Oświecimski wskazał pokrewny sobie dom Chrzczonowiczów w Bobrówce, o parę mil od nas odległej. Nie doczekawszy się nikogo więcej, nie wiedząc gdzie się Czyżyk, pozostały z kilkunastu ludźmi na tej stronie rzeki przed bitwą, znajduje, ruszyliśmy pod przewodnictwem Oświecimskiego we trzech do Bobrówki.

Głód straszny nam dokuczał. Przetrzęsaliśmy wszystkie kieszenie w poszukiwaniu jakiegoś pożywienia—daremnie. Wreszcie w mojej torbie znalazło się parę funtów przemokłego cukru, który spożyliśmy chciwie.

Wijąc się wśród lasu, natrafiliśmy na wąską drożynę, skracającą w prawo.

Zaledwieśmy jednak na nią weszli, gdy o uszy nasze obił się tentent kopyt końskich i wnet oczom naszym ukazał się patrol kozacki, zmierzający ku nam. Oprócz zamokłych pistoletów, żaden z nas innej już nie posiadał broni. Jakby na-

technieni jedną myślą, chwyciliśmy naraz suche gałęzie i zmierzaliśmy do kozaków. Dońcy, nieodznaczający się zbyt odważą, skreśli konie na miejscu i pogalopowali w przeciwnym kierunku.

Odtąd jednak, unikając ścieżek, szliśmy środkiem lasu, przedzierając się przez krzaki i stopy suchych gałęzi. Spotkaliśmy tu jeszcze jednego rozbitka, szlachcica zagrodowego z okolic Posadca, który tej „wojny“ miał już dosyć i myślał tylko, jak się bezpiecznie przedostać do domowego ogniska. Przyłączywszy się do nas, szedł z nami czas jakiś, skracając następnie w stronę zaścianka swojego.

W parę godzin dotarliśmy do Hłuboczan, majątności Szafkowskich, z których dwóch braci było w partji naszej. Jeden z Szafkowskich zginął pod Władykami, — drugi, ciężko ranny, dostał się do niewoli. Wygnany następnie do Syberji, zmarł tam wkrótce. Zatrzymawszy nas wśród zarośli na skraju lasu, Oświecimski sam jeden ostrożnie posunął się do dworu.

Może chciał być pierwszym zwiastunem smutnych dla rodziny wieści! Mocno bowiem wzruszony wrócił stamtąd niebawem, przynosząc nam wędzony półgęsek, któryśmy w jednej chwili połknęli. Pomnąc

o głodzie naszym, chwycił go ze stołu, nie mogąc wobec boleści rodziny myśleć o większym zapasie żywności.

Idąc dalej ku Bobrówce, przernęliśmy znowu Ilję, która w tem miejscu zwykłym już swem wązkim płynęła korytem. Znaleźliśmy się ponownie po tej stronie rzeki, gdzie była bitwa, lecz o parę już mil wyżej, zasłonięci wielkimi lasami. Posuwając się powoli przez gąszcze leśne, unikaliśmy starannie wszelkiego zbliżenia się do każdej wsi lub pojedynczej zagrody, w obawie ściągnięcia biedy na siebie lub na tych, do których dążyliśmy.

Niebotyczna w owe czasy puszcza okalała niby wiankiem dworek w Bobrówce, łącząc się niemal z ogrodem, u wrót którego stanęliśmy około północy. Zalecając nam ostrożność, Oświecimski począł się wśród krzewów ogrodowych cicho skradać do dworka. Oczekując na jego powrót usnęliśmy snem tak twardym, iż z trudnością nas rozbudzić zdołano.

Z wielką ostrożnością wprowadzony zostałem wraz z moim towarzyszem, Lubowickim, do mieszkalnego domu. Olsnił mię odrazu widok—raju ziemskiego. Po wstrząśnieniach ostatnich, po tylu trudach, niewygodach i niebezpieczeństwach,

objęło nas tu w tym jasnym pokoju jakieś ciepło fizyczne i moralne. Przed białym stołem, zastawionym suto jadłem, stała z serdecznym uśmiechem na ustach siwowłosa gospodyni i pani tego domu w otoczeniu dwóch młodziutkich czarnokich córek, robiących na mnie w tem podnieceniu duchowem, w jakim wówczas zostawałem, wrażenie aniołów.

W tej staropolskiej serdecznej gościnnej atmosferze kołły się powoli rany serca i duszy. Nakarmieni i napojeni, zostaliśmy na spoczynek zaprowadzeni na poddasze, gdzie raz pierwszy po kilkutygodniowej włóczędze, umyć i rozebrani usnęliśmy w miękkiej pościeli.

Było już około południa, gdy zbudziły nas głośnie płynące z dołu echa Trawiaty, wykonanej na cztery ręce z wielką brawurą. Panienki dawały nam za pomocą fortepjanu hasło do wstawania. Nadjechał bowiem przedstawiciel władzy cywilnej, jeden z najczynniejszych jej członków, Adam Tukałko, wracający już z Władyk z pogrzebu poległych biednych towarzyszy naszych.

Z chwilowego raju spadaliśmy znowu w smutną rzeczywistość, tem smutniejszą, iż klęska była większą, niż ją sobie wyobrażaliśmy.

XIX.

Relacje Tukałły. Ogrom klęski. Zabici i wzięci do niewoli. Tragiczna śmierć Tyszkiewicza. Zbrodnia Rzeczyckich. Moi domownicy. Wspólna mogiła. Władyki po 25 latach.

Z ust Adama Tukałły dowiedzieliśmy się, iż gdy oddział nasz wyłonił się z lasu na brzeg rzeki Ilji, pod Władykami, kilku włóścian tejże wsi, nie porozumiewając się wcale z innymi gospodarzami, wysłało na własną rękę sztafetę do pobliskiego miasteczka Illi z raportem o pojawieniu się powstańców.

W Illi stał właśnie pułkownik Gall z kilku rotami żołnierzy. Zanim oddział nasz zbudował tratwę i przeprawił się na drugi brzeg, już Gall ze swem wojskiem oraz setką kozaków tych samych, co dzięki nieudolnej i niedbałej organizacji zasadzki, szczęśliwie uniknęli pogromu a dopomagali do zadania nam klęski,—nadciągnął do Władyk, a ulokowawszy swe główne siły za wioską, opasał nas i zaatakował w chwili, gdy rozrzućeni na łączce, czekaliśmy tylko na przeprawę Czyżyka z ostatnią pozostałą garstką ludzi.

Czyn chłopów był nowym ciosem, rozwiewającym uludy nasze. Sprzedali nas za kilka rubli nagrody!..

Cały nasz oddział został rozproszony. Około 70 naszych towarzyszy padło na placu boju, tyłuż mniej więcej zginęło w nurtach rzeki, a 20 kilku rannych dostało się do niewoli.

Zaraz po bitwie, więźniowie zostali odtransportowani do Mińska.

Ze strony rosyjskiej padło kilkudziesięciu żołnierzy.

Z ust Tukałły, jak krople rozpalonego ołowiu na otwartą ranę, padały wciąż nowe nazwiska poległych powstańców.

Pierwszą niemal ofiarą kul moskiewskich był Wincenty Koziełło, naczelny a nieszczęsny wódz, co tak nieopatrznie oddział swój bez żadnej nagłej potrzeby na otwarte miejsce, pod wioskę, gdzie rzeka była rozlana najszerzej—z kryjówki leśnej wyprowadził.

Dziś jeszcze, gdy na fakt ten patrzę z dalekiej, czterdziestokiloletniej perspektywy, pojąć nie mogę, jaki ów ruch Koziełły mógł mieć cel i znaczenie? Opierając się na wielu danych, przypuszczam, iż został wykonany bez żadnego obmyślanego planu. Smutnym jego skutkiem była nietylko klęska pod Władykami, lecz i zabicie powstania w pow. wilejskim.

Z długiej listy tych, co padli pod Władykami, wymieniam tylko następujące nazwiska:

Dwóch braci Ratyńskich: Alfred
i Ernest z Kraśnego.

Dwóch braci Odyńców: Wincenty
i Ireney z Wiązowca.

Dwóch braci Moraszków.

Strzyżysław Rodziewicz z synem.

Szatkowski z Hłuboczan.

Ks. Gwaldecki z Wołkołaty.

Domanowski z Mińska.

Wasilewski z pod Dołhinowa.

Łaszczkiewicz z Oszmiańskiego.

Oficer Walicki.

Doktor Suchecki.

Mikołaj Dauksza, który sądzony
za sprawę Konarskiego, niedawno
z Kaukazu wrócił do kraju.

Obern z Dołhinowa.

Henryk Koziello.

Znałem ich bliżej. Imiona te za-
pisały się w sercu i pamięci!.. Inne,
nie zanotowane na razie, zatarły się
z biegiem czasu.

Zginął we Władkach również i
hr. Henryk Tyszkiewicz z Pleszcze-
nic, straszniejszą jeszcze śmiercią,
niż inni. Nie kula bowiem nieprzy-
jacielska pozbawiła go życia, lecz
nóż czy siekiera współbrata, schło-
piałego szlachcica Rzeczyckiego. Ran-
ny w bitwie hr. Henryk, został po-
dobno podjęty przez jednego z wło-
ścian z pośród trupów i odprowa-
dzony, oraz ukryty w stodole Rze-
czyckich. Może hr. Henryk obiecy-
wał sutą nagrodę za ocalenie życia

i dał poznać, iż ma przy sobie pie-
niądze, których trzos istotnie nosił
w pasie, lub może zbrodniarze sami
je przewąchali, bo nikt tej tragedji,
której ostatnim aktem było zamor-
dowanie nieszczęśliwego młodzieńca,
sprawdzić już nie mógł. Wiedzieli
coś o tem władzykowsy włościanie,
lecz zrazu milczeli. Dopiero, gdy
nagle z bogaceniem się Rzeczyckiego
klóć ich w oczy zaczęło, straszny ten
dramat na jaw wychodzić począł.
Rzeczyccy nabyli wkrótce kilka
włók ziemi, lecz biedy i niepowo-
dzenia, jakie na tę rodzinę spadały,
lud uważał za karę Boską i z pe-
wną bojaźnią mówił o tem. Jeszcze
w roku zeszłym doleciały mi osta-
tnie echa z Władyk o nowem poko-
leniu Rzeczyckich, na którym wciąż,
wedle okolicznych mieszkańców, cią-
żyła ręka Boska za grzech rodziców.

Moi dwaj wierni, poczciwi domo-
wnicy, Klemens Filon i Jakób Spe-
cjań, którzy od chwili naszego wyj-
ścia z domu nie opuszczali mię
wcale, dostali się do niewoli. Są-
dzeni następnie i wygnani do Sybe-
rji, raz się tylko jeden stamtąd ode-
zwali, prosząc o pieniądze na po-
wrót do kraju po jakimś ułaska-
wiającym niektórych wygnańców
manifestie. Z serdecznem wzrusze-
niem wysłałem im natychmiast dwa
razy taką kwotę, jakiej żądali, lecz

potem żadnego już znaku życia nie dali i na żaden z moich listów nie odpowiedzieli więcej.

Wszystkich poległych powstańców, jako też tych, którzy zginęli w rzece a których ciała na wierzch wypływały, złożono w jednej wielkiej mogile na polu włociańskim.

Cześć tym zapomnianym bohaterom, którzy dla Ojczyzny życie tu w ofierze złożyli!..

Gdy po upływie lat 25, w jubileuszowy rok tego smutnego epizodu pojechałem z rodziną i kilku znajomymi na pole bitwy do Władyk, znalazłem tam wszystko niemal bez zmiany. Tylko okalające wieś puszcze były już rzadsze, lasek sosnowy więcej wytrzebiony a wążka wśród łączki Ilja nie podobna do owej pieniającej podówczas rozlanej rzeki. Z boku wsi, kwadratowy kawałeczek pola nieuprawianego, ze znaczną wklęsłością w środku, przedstawiał wspólną mogiłę moich towarzyszy. Żadnego krzyża, znaku, słupa! Może ją dziś już zaorali włocianie. Wówczas jeszcze wstrzymywało ich poszanowanie dla zmarłych, oraz zabobon, nie pozwalający tknąć mogilnej ziemi. Włocianie podejrzliwem okiem patrzali na nas i o naszej bytności we Władykach dali zaraz wiedzieć policji.

XX.

Raport urzędowy. nierówne siły. Meżna walka powstańców. Zredukowane cyfry. Grób naszych. Oddział Czyżyka. Upadek ducha. Trudność wyżywienia. Przejazd Murawjewa do Wilna.

Komunikat urzędowy, tyczący się bitwy pod Władykami, podany zrazu w „Północnej Poczcie“ a przedrukowany następnie w „Kurjerze Wileńskim“ Kirkora, brzmiał dosłownie, jak następuje:

„Gen. Goldgajer donosi: dla sciśnienia bandy Kozieli w północnej części powiatu mińskiego, gen. Goldgajer do dwóch rot wielkołuckiego pułku, przyłączył pod ogólne dowództwo pułk. Galla jeszcze 2 rotę kremieńczyuskiego i 1 i pół rotę nowo-ingermanowskiego pułku. Od 13 do 16 maja poszukując od wsi Zawiszyna i doszedłszy do Zaciemienia, przylegającego do Stajkowsko-Obadowskiej puszczy pow. wilejskiego, pułkownik Gall wynalazł ślady powstańców. Zostawiwszy 1 rotę w Stajkowskim lesie, sam z dwoma rotami poszedł w głąb lasu, gdzie mu jeden chłop doniósł, iż powstańcy tylko co przeszli przez rzekę Ilję i rozlokowali się w lesie. Tenże chłop wskazał bród, przez który strzelcy

przeszedłszy, rozsypali się w łańcuch i poczęli atakować powstańców. Ostatni bronili się zawzięcie za okopami¹⁾, lecz po nadejściu drugiej roty — pierzchnęli. Ściganie i rozbicie polecono przybyłej na wystrzały rocie tegoż pułku. Powstańcy stracili przytem 70 zabitych i prawie tyluż utonęło w rzece i błotach. Jeńców wzięto 25. Odbito 65 fuzji i wiele białej broni²⁾, oraz 10 koni. W wojsku zabito 7³⁾, raniono praporszczyka Daniłowa⁴⁾ i 33 szeregowców. Pułkownik Gall kontuzjowany“.

Taki był raport urzędowy.

Stwierdza on w pewnym stopniu męstwo naszego oddziału, który napadnięty zniemacka, nie okopany wcale „bronił się zawzięcie“ i wolał zginąć niż się poddać. Wymowną tego ilustracją stanowią nierówne siły walczących. Należy tylko zwrócić uwagę na cyfry. Wojsko rosyjskie składało się z 5 i pół rot, liczących około 660 ludzi, oprócz seciny kozaków, o której raport nie wspomina wcale. Oddział zaś nasz po

1) Wierutny fałsz. Okopów być nie mogło.

2) Nie było jej wcale.

3) Zabitych było przeszło 30.

4) A gdzie junkier Samowicz, który padł w moich oczach?

odjęciu garstki powstańców, pozostałych na drugim brzegu rzeki z Czyżykiem, miał zaledwie w boju około 200—220 ludzi, których uzbrojenie nie dorównywało wcale uzbrojeniu żołnierzy. W bitwie tej odczuwała się, bezwiednie może, dawna rycerska krew polska, którą dobry wódz, jeśliby on istniał, mógł znakomicie wyzyskać. Ale nie stało nawet Kozieli i powstańcy rzuć samopas po wielu rozpaczliwych wysiłkach, przyparci do rzeki, musieli wreszcie w tej nad wyraz niewygodnej pozycji uleść przeważającej sile. W stosunku do zabitych, wzięto do niewoli nader małą liczbę powstańców i to przeważnie ciężko rannych.

Raport zredukował tendencyjnie cyfrę strat w wojsku rosyjskiem. Adam Tukałło, który wraz z Ottonem Bohdanowiczem był na pogrzebie ofiar bitwy, widział na własne oczy stosy trupów żołnierzy, zwożonych na cmentarz cerkiewny. Gdym zwiedzał Władyki, po upływie ćwierci wieku, widziałem jeszcze w ogrodzeniu cmentarnem krzyż na mogile żołnierzy z odpowiednim napisem.

Grób tylko naszych poległych, rzucony bez żadnego znaku—zniknie wkrótce bez śladu!..

Wedle opowiadania miejscowych

włościan, do przyjazdu naszego nikt nigdy na grób ten nie zajrzał, nie zrosiła go żadna łza swojska i nie wyszeptaly nad nim polskie usta słów wiecznego odpocznienia.

Panująca po powstaniu panika zahypnotyzowała i znieczuliła społeczeństwo nasze.

Pozostawiwszy nas w Bobrowce, Adam Tukałło wnet się ulotnił. Nie wiedział bowiem jeszcze, gdzie się znajduje Czyżyk z pozostałymi z nim ludźmi. Dopiero w dni parę zawiadomił nas, iż możemy już ruszyć do obozu, który się znajdzie w pobliżu Bobrowki.

Działalność Tukałły charakteryzuje sprężystość naszych władz cywilnych i niezachwiany porządek w całej tej organizacji.

Gdyśmy na wskazane miejsce w lesie się zjawili, zatrzymały już nas pikiety powstańców. Smutne było nasze powitanie z Czyżykiem.

Większość naszych towarzyszy leżała już w mogile!... Zebrany z rozbitków oddziałek liczył zaledwie 40 ludzi, uzbrojonych nieźle, lecz pozbawionych tego ducha zapału i nadziei, który uleciał już bezpowrotnie... Ja dostałem znowu doskonałą dubeltówkę. Przysłał mi ją komitet wileński przez ojca mego, jako nagrodę za zręczne przeprowadzenie

drobnej partji naszej do oddziału Kozieliły.

Takąż samą nagrodę miał otrzymać i Wincenty Odyniec, o którego śmierci komitet jeszcze nie wiedział.

Odtąd pod przewodnictwem Czyżyka rozpoczęliśmy znowu bezcelową włóczęgę, kryjąc się jak zbóje wśród największych gąszczy leśnych, a na czaty i pikiety zwracając baczniejszą uwagę. Ponieważ nas było tylko 40, więc kolejny obowiązek czuwania wytwarzał nieustającą robotę.

Póki staliśmy w okolicy Bobrowki, głodu nie czuliśmy, bo panienki ze dworku nadsyłały nam pożywienia dosyć, lecz później kwestja żywnościowa stała się trudnym do rozwiązania — problematem. W forsownych marszach, pod osłoną nocy, przierzucaliśmy się wciąż z jednej miejscowości w drugą. Z Mamyłowskich i Biesiadzkich lasów przerzneliśmy się wreszcie do Łukawickiej puszczy gdzie niedaleko Chocieniczyc staliśmy najdłużej.

Tu doszła nas wiadomość o przybyciu do Wilna wielkorządcy Murawjewa, który zjechał tam właśnie w dzień bitwy władyskowskiej, to jest dnia 16 maja 1863 r. i odrazu ścisnął kraj w swe okrutne, nieubłagane kleszcze.

XXI.

Rozwiązanie oddziału. Moje wystąpienie. Dalsze losy Czyżyka. Wołki. Spalenie Gromicy. Wytrwałość. Areszt w Smoleńsku. Towarzyszka wygnania. Mój powrót do domu. Zniechęcenie ojca.

Ponieważ w ciągu dni kilkunastu nikt do oddziału naszego więcej się nie przyłączył, a taka mała garstka nie miała racji bytu, przeto zawiadomiono nas, iż oddział się rozwiązuje i każdy ma prawo wrócić do domu lub starać się przyłączyć do innej większej partji.

Postanowiłem udać się do ojca i z nim się naradzić, co dalej czynić? W powrocie do domu towarzyszył mi i Al. Lubowicki. Pocziwy Tukałło obiecał nam możliwą w tem pomoc. Czyżyk z kilkunastu towarzyszami postanowił przerznąć się do borysowskiego powiatu, co mi się acz z trudem udało po moim już wystąpieniu z partji. Wiem jednak, iż gdy przechodził około Dźwinoskich lasów, gdzieśmy się po połączeniu z oddziałem Kozieliły organizowali pierwotnie, pikiety jego postrzegły, iż dwóch ludzi wciąż śledzi ruchy drobnego oddziału. Ująć szpiegów jednak na razie nie zdołano i dopiero w dni parę, dzięki zdwojonej baczności, ptaszki dostały się do

klatki. Jakież było zdziwienie wszystkich, gdy w przyłapanych szpiegach, poznano owych dwóch włóscian Wołków, ojca i syna, którzy, raz już ujęci na szpiegostwie, sądzeni byli na śmierć i tylko na prośbę całego oddziału przez Kozieliłę ułaskawieni. A tak wówczas wyrażali nam swą wdzięczność, tak przysięgali wierność!

Złożony ogólny sąd wydał na nich niecofnięty już wyrok śmierci.

Zwlekano jednak z jego wykonaniem i przez dni parę jeszcze ciągnano łotrów za sobą, co dużo kłopotu robiło. Wreszcie, postawiwszy obu razem plecami, rozstrzelano niepoprawnych szpiegów i pogrzebano w lesie.

W pow. borysowskim, około miejscowości, zwanej Garbaty Nos, dwie rotty żołnierzy napadło na garstkę Czyżyka, zakłówszy bagnetami stojącego na pikiecie szeregowca. Powstańcy jednak zręcznie zdołali się wycofać, nie poniosłszy żadnej innej straty.

Oddziałek Czyżyka, znajdujący się niejednokrotnie w rozpaczliwym położeniu, bez jada, bez wieści i bez nadziei, przetrwał jednak do późnej jesieni 1863 r. Znajdujący się w partji dzielny oficer Żołnierowicz, zajrzawszy dla zdobycia jada i zasięgnięcia języka do wsi Gromicy,

w pow. borysowskim, został przez włościan schwytyany i wydany władzom. Mszcząc się za towarzysza, Czyżyk podsunął się do wioski i zapalił ją w kilku punktach, poczem szybko umknął do lasu. Atoli na alarm chłopów, wysłany w celu ścigania powstańców, porucznik Ryzze, doznał ich w lesie około Bodzynek i poturbował nieco, pędząc przed sobą wiorst kilka.

Kiedy jesienne mrozy doskwierać już silnie zaczęły, Czyżyk zaledwie wówczas rozwiązał swą partję, której uczestnicy, dając dowody niezwykłej energii i wytrwałości, niemal za bohaterów legendowych uważani być mogą. Czyżyk, chcąc przekraść się zagranicę, dażył z cudzym paszportem przez Smoleńsk do Petersburga. Niestety jednak chciało, iż w Smoleńsku poznany został przez jednego ze swych dawnych kolegów wojskowych. Aresztowany, cudem przy rządach Murawjewa uniknął kary śmierci, którą zastąpiłono wieczną katorgą. Za Czyżykiem podążyła do Syberji, jak wiele innych Polek, asystujących swym mężom i braciom i narzeczona jego panna Gedrojciówna z Wilejki, która, połączywszy się na dalekiej północy ślubem małżeńskim z ukochanym człowiekiem, wiernie dzieliła z nim dolę wygnańca.

Powiadomiony o moim zamiarze wycofania się z partji Czyżyka ojciec mój zjechał do Chocieńcyc, skąd Wysocki wysłał do partji, znajdujące się w poblizkim lesie, zaufanego swego leśnika, w celu umówienia się ze mną, gdzie i jak z ojcem spotkać się mamy. Wieczorem tenże leśnik doprowadził mnie z Lubowickim do gościńca, gdzie już oczekiwał ojciec. Z jakąż radością i boleścią zarazem rzuciliśmy się sobie w objęcia! Po paru chwilach ojciec odjechał, polecając nam manowcami dostać się ostrożnie do Bakszt. Zaraz po północy, wskoczywszy do domu przez okno z ogródka, znalazłem się w objęciach biednej matki mojej. Przed służbą naszą nie potrzebowaliśmy się ukrywać zbyt. Wszystka była życzliwa i szczerze rodzicom moim oddana.

Przesiedzieliśmy więc tu dni kilka, odpoczywając i naradzając się, co dalej robić wypadało. Znalazłem ojca mego zgorzkniałego i mocno zniechęconego. Żądał już kilkakrotnie dymisji, której mu Komitet udzielić jeszcze nie chciał.

Powodem tego zniechęcenia, jak mi z żalem opowiadał, było parokrotne natknięcie na obłudę wśród ziemian, którzy, mając już dosyć powstania i połączonych z nim kosztów i niepokojów, maskowali jeszcze

niecو ze strachu swe wystygłe już patryjotyczne uczucia. — Na jednym z zebrań szlachty, w sąsiednim dworze, ojciec mój, zmęczony rozprawami, przygnębiony ogólnym upadkiem ducha, wysunął się cicho do przyległego pokoju, chcąc myśli swobodniej zebrać. Zmrok zapadał. — Dwaj inni ziemianie weszli również do tego pokoju a nie dostrzegając obecności ojca, wypowiadali sobie swe Credo, które dotknęło ojca boleśnie.

— Dość już tych składek i zabawy w patryjotyzm — prawil jeden, — trzeba powoli wycofywać się z tej łaźni.

— Należy do czasu jeszcze grać z nimi komedję, — ciągnął drugi, — potakiwać i wszystko obiecywać. Mogą jeszcze powiesić lub spalić.

Mówiły to usta ludzi, którym dotychczas ojciec mój ślepo wierzył.

XXII.

Początki reakcji. Rzady Murawjewa. Napływ obcego elementu. Złota Hramota. Milicja wioskowa. Narady. Przybycie do Proncejkowa. Borejsza.

Był to pierwszy zgrzyt w harmonijnym dotąd koncercie patryjotycznym.

Spoleczeństwo nasze charakteryzuje zawsze to wulkaniczne usposobienie, które po pierwszych gorących wybuchach stygnie prędko i reakcyjnie cofać się zaczyna. Doświadczyłem tego kilkakrotnie w w późniejszym życiu w sprawach ogólnych. Wówczas jednak, gdy napięcie uczuć patryjotycznych w całym kraju było jeszcze tak silne, ten pierwszy powiew chłodny, ta maska nieszczeroci, pod którą zaczynali się już ukrywać ludzie, raziły silniej i bolały mocniej.

Słowa owych ziemian, jak krople zimnej wody oblewały rozpalone jeszcze czoło mego ojca. Zrozumiał, iż koniec powstania się zbliża.

Ogólne naprężenie zaczynało pękać, duch słabł pod wpływem strachu o wolność i mienie...

Ciężka ręka Murawjewa już w kraju dotkliwie uczuło się dawała. Rozpoczynał się szereg aresztów, kaźni, konfiskat i sekwestrów majątków. W całym kraju, zostającym od wiosny na wojennej stopie, wprowadzony był zarząd wojskowy. W każdym powiecie naczelnik wojskowy o szerokich, nieograniczonych niemal prawach, miał w każdym jeszcze stanie podkomendnych swych wice-naczelników, pozwalających też sobie na wszystko. Rozpoczynała się już straszna gospodarka na Litwie,

która w ciągu lat 40 zrujnowała ekonomicznie kraj cały. Jak na nowo potworzone urzędy, tak też i na dawne, z których Polaków preczgnano, spłynęły z głębi Rosji wszystkie szumowiny społeczne, wnosząc do kraju rozkładowe pierwiastki moralnego zepsucia. Celem tego niekulturalnego elementu było jedynie napchanie własnej kieszeni. Łapownictwo owych pseudo-patrjotów, wyzyskiwane w krytycznych wypadkach, było poniekąd szczęściem dla kraju. Dawało ono możliwość ratowania się za pomocą pieniędzy od ciężkich prześladowań i otarcia niejednej łzy społecznej.

Szlachetniejszy żywioł rosyjski nie posunął się do prześladowanego kraju.

Rewolucyjna nawet partja rosyjska, chcąc przyjść z pomocą wolnościowemu ruchowi polskiemu, zaczęła za pomocą młodzieży uniwersytetu kazańskiego rozrzucać wśród ludu nad Wołgą i jej dopływami, jako w miejscowości, pamiętającej jeszcze czasy Pugaczewa, a więc najbardziej do ruchu rewolucyjnego podatnej, tak zwaną „Złotą Hramotę,” pobudzającą do powstania przeciw rządowi. Wodna komunikacja latem ułatwiała sprawę. Lud w dorzeczach Wołgi zaczynał się burzyć. Ale rzecz się wykryła i sprawcy zamie-

szek poszli na szubienicę lub do syberyjskich kopalń.

Wskutek może tej propagandy lud rosyjski był zrazu sympatycznie dla Polaków usposobiony i pierwszym naszym wygnańcom okazywał życzliwość i chętną pomoc.

W ciągu tych 6-7 tygodni, które spędziłem w lasach, wygląd kraju zmienił się do niepoznania. We wszystkich wsiach i miasteczkach uwijała się milicja konna, uzbrojona w piki, strzelby, pistolety, pod komendą unter-oficerów, feldfeblów, oraz urlopowanych żołnierzy. Rewidowano wszystkich przejeżdżających, przetrzasując ich powozy, rzeczy a czasem i kieszenie. Odbywały się przytem nieraz sceny nad wyraz przykre i ciężkie.

Chociaż masy włościańskie zachowywały się przeważnie neutralnie, wyłoniły się jednak z tego wielkiego a ciemnego morza, jak zwykle w burzliwych czasach, wszystkie męty i brudy i rozlały się po kraju w postaci różnych łotrzyków, którzy, dopomagając niby rządowi w tłumieniu powstania, dopuszczali się przeróżnych ekscesów. Trzeba się było okupywać na wszystkie strony, aby uniknąć tych strasznych rewizji we dworach i dworkach, w których przebrzasanano wszystko i które po sobie zostawiały nieraz ślady zupełne-

gò zniszczenia. Jak z góry, tak z dołu, napływowe i miejscowe, niekulturalne a chciwe elementa, przeważnie w widokach osobistych korzyści, pastwiły się nad wszystkim, co było polskiem.

Powiat wilejski miał swego satrapę w postaci naczelnika wojennego, Borejszy. Nadużycia jego wołały nieraz o pomstę do Boga.

Członkowie jednak organizacji, którym dziś jeszcze cześć się należy za niez mordowaną pracę i surowe spełnienie obowiązku do końca próbowali raz jeszcze po władzykowskiej klęsce, ożywić powstanie w pow. wilejskim.

Miał się utworzyć nowy oddział w okolicy Dworca. Kazano mi się tam udać i przeprowadzić go do Czyżyka, który na rozkaz ojca zatrzymał się jeszcze w Ilskich lasach.

Dążąc z towarzyszem na wskazane miejsce, przybyliśmy w nocy do Pranczejkowa, stałej podówczas rezydencji moich rodziców. Uderzył nas widok oświetlonego domu, oraz pewien hałas na dziedzińcu, gdzie stało kilkanaście okulbaczonych koni. Zajrzawszy cicho przez okno do jadalnego pokoju, ujrzelśmy tam rodziców, oraz kilku oficerów. Sytuacja stawała się groźna. W kilka chwil ukazał się w ogrodzie, gdzie-

śmy przytuleni do ściany czekali, wierny nasz pokojowiec, Józefek.

— Na miłość Boską, cicho panice — szepnął. U nas naczelnik wojskowy, Borejsza. Dwór pełen kozaków... Idźcie między stawy, połóżcie się tam i czekajcie.

I co tchu umknął do pokoju.

W parę godzin przybiegł do nas i cichutko na strych domu wprowadził.

Nad głową Borejszy, z którego rąk nie wyszedłbym żywy, usnąłem snem kamiennym.

Szczęśliwa, bezpieczna młodości!..

Nazajutrz rano, Borejsza, który się o mnie wciąż wywiadywał, odjeżdżając ze swą watahą i dziękując matce mojej ze gościnność, dodał z rubaszną galanterją:

— A wsio taki, ja syna waszewo powieszu!..

XXIII.

Zawód. Do Mińska. Korneli Peliksha. Upadek powstania. Prześladowanie duchowienstwa. Po burzy.

Nowy oddział około Dworca Kurowskiego już się nie sformował. Na punkt zborny zjawilo się zale-

dwie kilku strwożonych własną śmiałością ludzi. Wobec tego przybyły do Dworca komisarz powiatowy Politowski kazał wszystkim się rozejść.

Wróciwszy znów skrycie do domu, udałem się wraz z ojcem do Mińska, pragnąc wejść do tamecznej organizacji i przedostać się do partji Laskowskiego. Towarzysz zaś mój odjechał w nowogródzkie strony.

Nie mogąc się jeszcze zbyt jawnie prezentować we dworze i okolicy, wymknąłem się w dzień wyjazdu niepostrzeżenie z domu i wpadłszy w gęste żyto przy drodze, oczekiwałem ojca. Zaledwie zaturkotała kryta bryczka, gdy jednym susem znalazłem się wewnątrz. Na skinienie mego ojca otwierały się przed nami wszystkie rogatki aż do granicy gub. mińskiej, gdzie jeszcze tych pułapek nie było. Milicja żadnych nam nigdzie trudności nie robiła. Uderzał mię ten mir i szacunek, jaki mój ojciec miał u ludu.

Naczelnikiem województwa mińskiego był podówczas wybitny mąż s. p. Korneli Peliksza, stanowiący główną niemal acz niewidzialną sprężynę całego rewolucyjnego ruchu mińskiego. Jemu to ojciec, odjeżdżając z Mińska, mnie polecił.

Peliksza tworzył charakterystyczną postać. Mieszkając skromnie we dworku Wańkowicza przy Wołoskiej ulicy, leczył się ciągle od uporczywego reumatyzmu. Dnie całe niemal spędzał w otoczeniu lekarzy. Chodził o kulach. Wieczorami grywał w karty z gubernatorem. Ze swoimi żadnych prawie stosunków nie utrzymywał. Olbrzymiego wzrostu, małomówny i zawsze spokojny, człowiek ten był duszą powstania mińskiego. Pędząc życie na pozór beczynne, pracował od rana do nocy. Był zdrow i silny. Reumatyzm służył mu za parawan, którym przed szpiegami osłaniał czynności swoje. Gdy w innych miastach wyłapywano już członków organizacji narodowej, tu—przetrwała ona spokojnie do jesieni.

We dworku Wańkowicza życie kipiało i biło całą ówczesną falą.

Tego niepospolitego człowieka znałem już nieco dawniej. Przed samym wybuchem powstania w Królestwie byłem z doktorem Ludwikiem Walickim u niego na wsi w Górkach.

Uderzył mię już wówczas ten dom, tchnący myślą głębszą, pełen pism najświeższych i bogatych księgozbiorów. Pamiętam, jak uprzejmy gospodarz, lat około 40 liczący, ba-

dał mię w kwestji stosunków młodej polskiej w Petersburgu. Widocznie szło mu o zawiązanie tam pewnej organizacji, która, jak dziś rozumiem, musiała już istnieć w Mińsku. Na zapusty miałem z Petersburga wprost przyjechać do Górek, ale przeszkodził temu wszczęty już ruch w kraju. Gdym stanął we dworku Wańkowicza Peliksza przyjął mnie znów serdecznie, obiecując wkrótce wysłać do obozu Łaskowskiego. Tymczasem miałem zostać w Mińsku na usługach organizacji. Zapoznałem się wtedy z wielu jej działaczami, do których między innymi należeli: Hausman, Sliwień, dr. L. Walicki, dr. Czekotowski i t. d.

Peliksza wprowadził mię kilkakrotnie na liczniejsze zebrania. Gdyśmy raz z nim w nocy wracali z Trojeckiej góry, napadł na nas pies wściekły.

Nie postrzegłem go jeszcze, gdy już Peliksza, nie przerywając dawanych mi instrukcji, podstawił kij swej kuli, którą trzymał w ręku, a gdy szalone zwierzę wpiło się weń kłami swej pieniającej paszczęki, Peliksza przysunął je z kijem ku sobie a uchwyciwszy za kark cisnął o bruk z taką siłą, iż zwierzę padło martwe. On zaś spokojnie mówił dalej. Ta przytomność umysłu i ta zimna

kręć, malująca charakter człowieka, zrobiły wówczas na mnie wrażenie silne.

Pewnego dnia napisała mi matka, iż jeżeli na wskazany dzień i godzinę nie stawię się w Wilejce przed Borejszą, ojciec mój zostanie uwięziony. Ruszyłem tam tedy, nie wiedząc jaki los mię czeka. Już w Młodziecznie dowiedziałem się od ś. p. Antoniego Ochotnickiego, który nieraz pewne usługi organizacji narodowej oddawał, iż Borejsza terroryzuje cały powiat. Świeżo jego kozacy zsiękli do krwi nahajami jednego z ziemian miejscowych. Wzywając mnie, chciał może dotrzymać obietnicy danej matce, iż powiesi jej syna. Wykręciłem się jednak z rąk jego nadspodziewanie szczęśliwie i prędko. Kiedym wrócił do Mińska okazało się, iż chociaż partje powstańców jeszcze istniały, przedostać się do nich już nie mogłem. Sztáfety przewożone przeważnie przez kobiety, pełne odwagi i poświęcenia, zwiastowały wciąż o naszych klęskach. Więzienia były przepelnione, a sądy polowe czynne. Sypały się wyroki śmierci i deportacji. Dwaj słynni spiedzcy, policjant Wiernikowski i żandarm Łosiew, dostarczali wciąż nowych ofiar. W końcu lata Peliksza wyjechał za granicę, zdając swe obowiązki He-

ktorowi Łapickiemu, którego nazwisko krwawo się zapisało w dziejach powstania na Litwie.

Z Mińska przeniosłem się w strony borysowskie, gdzie przebywałem czas dłuższy. Wszczęły się już były prześladowania religijne, poniewieranie świątyn i duchowieństwa. Urzędnicy rosyjscy prześcigali się w bezceństwach.

Drgnął cały powiat borysowski, gdy wojenny naczelnik Kołodziejew, podobny do Borejszy satrapa, zwoławszy księży naszych, wyszedł do stojących pokornie z powitaniem:

— Zdrastwujcie żerebcy borysowskawo ujezda!

I dał im admonicję, upstrzoną suto w podobne kwiaty djalektyki moskiewskiej. Spadła w jesieni na kraj 10 proc. kontrybucja, jako kara za powstanie i bonifikata kosztów rządu była niemal cukierkiem wobec moralnych bólów, ciosów i upokorzeń. A jednak wysssała ona ekonomiczne siły Litwy, zgarniając z niej w ciągu czterech dziesiątków lat około 40 milionów rubli. Ukaz grudniowy, sekwestry i konfiskaty dóbr, dokonały reszty. Mowę polską wygnano zewsząd. Dwory i dworki opustoszały. Z kilku zaścianków nie zostało śladu. Kraj zapadł w sen letargiczny!...

A gdy się zeń zbudził do pracy u podstaw, gdy rany swoje podgoił—postrzegł, iż między ludem a tem wszystkim, co polskie, rząd głęboką już przepaść wykopał. I kopał ją dalej w ciągu długich lat szeregu, usuwając brutalnie każdą rzucaną nań kładkę — gasząc każde niesione tam, w tę ciemną krainę, światelka.

Wprawdzie popi i inne organa rządowe zatykali tam wciąż swe pochodnie, lecz one swym dymem zasłaniały brzask wszelki i jeszcze większą ciemność w te mroki rzucały.

Wreszcie rząd znużył się, wyczerpał i zaniechał kopania.

Ale przyszli inni, nowi ludzie i znów za łopaty chwycili i dalej kopać zaczęli. I obok dymiących pochodni popów zabłysły ich czerwone latarnie, ale krwawa łuna, na małą przestrzeń od nich bijąca, nie rozświetliła ciemności. Więc z drugiej strony zaczęto znów rzucać kładki i pomosty na przepaść i w obu dłoniach nieść w ciemnicę spokojne, jasne światło. I nagle, rozdmuchały się zeń świetlane iskry i rozsypały szeroko, rozpalając pierwsze czyste blaski.

Czy zaćmi je dym pochodni, czy zneutralizuje krwawa łuna latarni?—przyszłość pokaże...

A gdy się kraj zbudził po śnie długim, poczuł, iż w piersiach jego coś zastygło, zardzewiało, ochrypło... I tam, gdzie przed 40 kilku laty, były czyste, wolnościowo-polskie tętna, ozwały się jakieś fałszywe litewsko-białoruskie dźwięki, które chorą piersią targać zaczęły. Czy zdolają ją rozbić?... zobaczymy.



Błędy drukarskie.

Str. 6, w wierszu 10 od góry, zamiast „profesora języków“ powinno być: *profesora języków wschodnich*.

Str. 9, w wierszu 10 od dołu zamiast „do domu“, powinno być: *do nas*.

Str. 13, w 15 wiers. od góry, zamiast „oddzielnych“, powinno być: *oddziałów*.

Str. 31, w 17 wiers. od dołu, zamiast „koni“, winno być *konie*.

Str. 32, w wiers. 11 od dołu, słowo „co najmniej“ powinno było być wzięte w przecinku.

Str. 32, w 5 wiers. od dołu, zamiast „Łukawice“, winno być: *Łukawiec*.

Str. 36, w 13 wiers. od dołu, zamiast „Mikoła“, winno być: *Mikołaj*.

Str. 50, w 8 wiers. od góry, zamiast „naznaczył“, winno być: *mianował*.

Str. 55, w 3 wiers. od dołu, zamiast „nocami“, winno być *różnemi*.

Str. 82, w 12 wiers. od dołu, zamiast „dowodzący“, winno być: *dowodzący*.

Str. 83, w 2 wiers. od góry, po słowie „zaledwie“ musi stać przecinek.

Str. 86, w 2 wiers. od dołu, po słowie „nie ranieni“ opuszczony przecinek.

Str. 101, w 12 wiers. od dołu, zamiast „Mamyłowskich“ winno być: *Manujłowskich*.

Na tejże stronie, w 9 wiers. od dołu, zamiast „Łukawickiej puszczy“, winno być: *Łukawieckiej puszczy*.

Str. 103, w 1 wiers. od dołu, zamiast „Gromicy“, winno być: *Gromnicy*.

Str. 110, w 10 wiers. od dołu, zamiast „Pranczejkowa“, winno być: *Proncejkowa*.

